



N<sup>o</sup> 47.

Prenumerata w Warszawie:  
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 21 listopada 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-  
sarstwie w osobnych kopertach:  
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Stanisław Bogusławski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Droga Żelazna terespolsko-brzeska (z drzeworytem). — Mąż upatrzony, powieść z życia w dwóch częściach, p. Jana Zacharyasiewicza (dalszy ciąg, z czterema drzeworytami). — Co Słyszałem (z podania ludowego). — Rysunki humorystyczne F. Kostrzewskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Irena, (obrazek z dziejów greckich). — Uroczą, powieść przez T. T. Jeża (dalszy ciąg). — Dodatek nadzwyczajny: Tajemnica miasta, powieść przez F. W. Hackländera (d. c.)

### Stanisław Bogusławski.

— O bracie, mówił do Regnarda je-  
go przyjaciel, musiałeś chyba ogromny  
zapas smutku wypotrzebować w życiu,  
kiedy potrafisz tak być wesołym w swo-  
ich utworach.

Takie dziwowska dzieją się często  
na świecie.

Pan Bóg daje ludziom po mierze we-  
sowości, humoru, dowcipu, a jak sobie  
każdy taki zapas wypotrzebuje, to już  
jego rzecz.

Nie ulega jednak wątpliwości, że  
zwykle ci którzy najsilniej i najskute-  
czniej umieli się przyczynić do rozbu-  
dzenia wesołej myśli w drugich, tak  
zwani wielcy zbawiciele ludzkości, od-  
znaczali się sami w życiu usposobie-  
niem smutnym, czasami nawet ponurym.

Bo wszędzie istnieć musi konieczna  
równowaga.

Iluż to autorów i czasem najdowcip-  
niejszych, umierało na melancholią,  
iluż spotkać się dało najweselszych  
komików, zapatrujących się na świat  
z najmniej wesołej jego strony.

Ci ludzie, wypotrzebowawszy wszyst-  
kie wesołości i uśmiechy, bankrutują  
na nich w życiu, a udawać nie przycho-  
dzi im nawet do głowy.

Owszem, zdawałoby się że pisanie  
w takim razie jest koniecznym oddzia-  
łaniem przeciwko cięższej nad nimi  
rzeczywistości, która nie w wesołych  
zaprawę przedstawia się barwach.

\*  
\*  
\*

Stanisław Bogusławski obdarzony  
jest prawdziwym talentem kome-  
lyopisarskim, a rzecz to rzadsza niżby się  
zdawać mogło tym, którzy spotykając się co krok  
z kamediami, sądzą że one są prawdziwych kome-  
dyopisarzów dziełem.

Gdzie tam! Talent to najrzadziej napotykanym,  
a dzisiaj nawet w tak obficie rozrosłej europejskiej  
rodzynie autorów dramatycznych, komedyopisarz

pod grubą powłoką konwencyonalności światowej,  
śmieszność odrazu wpadała w oczy patrzącemu, jak  
owe osłe uszy, wydobywające się z pod lwiej skóry;  
potrzeba żeby te wszystkie uszczknięte  
tu i owdzie wady, śmieszności, zbo-  
czenia, obrazowały się odrazu w umy-  
śle w typy dokładne, żywotne i goto-  
we do pomieszczenia w pierwszych ra-  
mach jakie się nadadzą na nie.

To daje natura, tego nabyć niepo-  
dobna; wszelkie usiłowania skierowane  
ku przyswojeniu sobie tych przymio-  
tów, pełną bezowocnie.

Ale komedyopisarz potrzebuje nadto  
wysokiego wykształcenia, żeby umieć  
uporządkować i organizować to, co bez-  
ładnie i w pewnym chaosie wrażeń mu  
się przedstawia.

Arystofanes był znakomitym polity-  
kiem, Molier głębokim filozofem.

Komedyopisarz powinien pełną dło-  
nią zaczerpnąć nauki życia. Żadna  
sfera obcą mu być nie może. Jeżeli  
wypadkiem zawrze swoje badania w  
szczupłym, ograniczonym kółku, ze  
społecznego badacza, przeradza się w  
koteryjnego satyryka, który ciągle  
chłoscze jedne i te same wady, wzro-  
kiem ani ręką dalej nie sięgając.

Rutyna go zabija, staje się dlań ma-  
niera, pochłaniająca całą oryginalność  
poglądów.

Powinien on iść coraz dalej, coraz  
głębiej sięgać, inaczej słabnie i za-  
mięra.

Otóż głównym zarzutem który mo-  
żnaby uczynić Bogusławskiemu jako  
komedyopisarzowi, jest wyłączne pra-  
wie zamknięcie się w jednej i tej sa-  
mej sferze obieranych przedmiotów.

W dziełach Bogusławskiego nie szu-  
kać wad ogółowo - społecznych. Zwy-  
kle chwyta tam jest w przelocie chwila bieżąca, a  
i z tej chwili nawet wyrwane to tylko, co samo pi-  
sarzowi najbliższej pod chłostę podpadło.



Stanisław Bogusławski. (Podług fotografii Mieczkowskiego)

z krwi i kości jest istnym białym krukiem.

Potrzeba na to wyłącznego już punktu zapatry-  
wania się na rzeczy i sprawy ludzkie; potrzeba żeby

Więc zwykle występują tam w różnych postaciach starcy i śmieszni adonisowie, uróżowane i śmiejące się Celimeny, lichwiarze jako najsrozsze wrzekomo plagi społeczeństwa i młodzieniaszki z pretensją do światowości, a bez oleju w głowie.

Nierzadko to okraszane jakim typem starszla-checkim, (bo Bogusławski zasięga pamięcią tych postaci, które się czasem jeszcze przesuwały przed jego oczami) albo, jak w *Opiece wojskowej*, marsową twarzą żołnierza; naszemu komedyopisarzowi bowiem, który całą prawie młodość na usłudze wojskowej spędził, ta strona życia dokładnie jest znana.

Ze Bogusławskiego, jako autora dramatycznego, hojną dłonią obdarzyła natura, dowodzi tego udatna forma, w której się od razu wylały jego utwory.

Komedia taka, jaka nadal miała być prototypem dalszych prac jego, w całym już rynsztunku wystąpiła z jego głowy i powodzenie *Stariej Romantycznej* dowiodło, że umiał utrafić w cetno ówczesnych społecznych wymagań.

Od tej chwili nie zawiodło go już współczucie publiczności teatralnej i zmusiło go niejako po raz wytkniętej postępować drogą.

Tak zwana kanwa sztuki, techniczna jej część, ułożenie intrygi, powikłanie węzła, niewiele go zajmowały. Główną uwagę zwracał na obrobienie charakterów, które, jak to powiedzieliśmy, przeważnie w jednych tylko sferach lubił wybierać. Oprócz kilku drobnych wyjątków, pomysły brał tylko swoje, i to mu za niemałą zasługę poczytać należy, w tych czasach zwłaszcza, kiedy każdy prawie autor dramatyczny myśli o tém, żeby się za coś zaczepić i z cudzego skorzystać. Bogusławski — to z gruntu już autor oryginalny; na cudze słowo wierzyć nie chce; przedstawia co widział i jak rozumiał. Może się mylić, ale kłamać nie umie. Dlatego w utworach jego dostrzegamy tyle swojskiej, miejscowej barwy, niezsutych żadnymi naleciałościami, lub reminiscencyami rzeczy zaczerpniętych gdzieindziej. Być może iż upatrzony charakter przedstawia mu się w trochę przesadnych i jak to powiadają szarżowanych barwach; być może iż dowcip, który za każdym prawie pociągnięciem pióra jak z żywego źródła tryska u niego, razi delikatne uszy tych, którzy wyrozumiali dla treści, strzegą głównie przyzwoitości formy; ale tak dowcip jak i charakter schwyte były na uczynku, podsłuchane, wypatrzone i zaprzęć się ich niepodobna, bo one nasze i gdzieindziej przyjąby się nie mogły.

Więc też Bogusławski nie lubi tych konwencyonalnych formułek, które raz przyjętymi granicami określają działanie komedyopisarza. Pod tym względem niedaleko odbiegł on od Fredry i zdradza z nim pokrewieństwo ducha. Wstrętny mu jest ten półśmiesz salonowy, który lęka się głośniejszym wybuchem drażnić nerwowe usposobienie dzisiejszego społeczeństwa. Nasz komedyopisarz śmieje się całą gębą, całą dłonią uderza, a jeżeli siniak zostaje po uderzeniu, mniejsza o to: znośniejszy siniak, aniżeli rana, która na niezdrowym ciele społecznym rozdrażnia się zaniedbaniem.

Z komedij jego najtrwalszém cieszyły się powodzeniem wspomniana już *Stara Romantyczna*, *Krewni*, *Lwy i lwice*, *Opieka wojskowa* i wreszcie ostatni utwór *Złoty młodzieniec*, który przy końcu zeszłego roku kilkanaście razy zapełnił salę teatralną, a i dzisiaj z równym niezawodnie skutkiem mógłby być powtórzonym.

Pisał chętniej wierszem aniżeli prozą, i to właśnie dowodzi, że talent komedyopisarzski leży mu w krwi, bo wszyscy znakomitsi na tém polu pisarze daleko chętniej używali wierszowanej formy, jako przeważnie nadającej się do starannego obrobienia przedmiotu.

Tak poczynali sobie u nas Zabłocki i Fredro, tak we Francji, podczas najżywoźniejszego rozkwitnienia komedii, Molier i Regnard, tak nareszcie i wielcy owi storożytni autorowie, którzy dotychczas za pierwowzór tego rodzaju pisania służyć mogą.

Zbywano prozą utwory kręślone od ręki, sztuki czasowego powodzenia, albo wprost przeróbki tylko, jak Skąpiec Moliera.

W dzisiejszych dopiero czasach urzemieszniczenia sztuki dramatycznej, proza weszła w szersze użycie; realistyczna szkoła jęła się jej głównie, i nie dziwi

się temu, bo wiersz czyniłby nienaturalnemi, a może i przesadnemi potrosze owe fotografie w przelocie chwytanych chwil życia, które nam pod mianem komedii dziś podają.

Bogusławski pisał i powieści (*Prześladowca* i inne) były to jednakże tylko szkice charakterystyczne, odznaczające się łatwością chwytania ujemnej lub śmiesznej strony warszawskiego głównie życia, a nie wiążące się dostatecznie w obraz społeczny.

Na polu publicystyki pracował on także długo i pożytecznie. Trzydzieści lat przeszło był stałym współpracownikiem, a następnie redaktorem *Kuryera Warszawskiego*. Ta jednak działalność jego literacka mniej była widoczna, z powodu szczupłego zakresu krótkich tylko miejscowych sprawozdań, jaki sobie redakcja tego pisma zakreśliła.

Bogusławski, jako artysta dramatyczny, odznaczał się w rolach charakterystycznych, ze szczególnem upodobaniem i powodzeniem przedstawiając starych wiarusów, do których wzory obficie mógł czerpać we wspomnieniach młodości. Kilka lat już upływa, jak ukończywszy długi peryód użytecznej służby w teatrze, otrzymał emeryturę.

Oprócz innych prac, drukował w różnych pismach peryodycznych utwory wierszowane większych lub mniejszych rozmiarów. Ulotne te prace odznaczają się łatwością pisarską i tym swojskim dowcipem, którego Bogusławski niewyczerpane skarby zdaje się posiadać.

Wacław Szymanowski.

## Kronika tygodniowa.

Parę tygodni temu miało miejsce nowe ocalenie Rzymu.

Spóźniliśmy się trochę z tą wiadomością, ale kiedy idzie o oddanie sprawiedliwości zasłudze, lepiej, jak to powiadają, późno, aniżeli nigdy.

Rzecz tak się miała.

Na kilka dni przed św. Marcinem, w nocy, złodzieje zakradli się do pewnego domu na przedmieściu.

Było ich trzech.

W domu tym mieszkał handlarz drobiu. Wynajmował on wozownię, a w tej wozowni mieściły się ścięzionym szeregiem kury, kaczki, gęsi, słowem cały dziobaty i skrzydlaty rój nieboractwa przeznaczonego na utuczenie, a następnie na ofiarę żarłoczności ludzkiej.

Owóz złodzieje zamierzali wypróżnić ten kurnik w czasie właśnie, kiedy sądzili że jest najlepiej uprowadzany.

Po odbiciu kłódki, jeden z nich wszedł do wozowni i począł wybierać jej mieszkanki, każdej po kolei wiążąc nogi i skrzydła i podając je tak koledze siedzącemu na parkanie, który znowu przerzucał je za parkan trzeciemu spółnikowi.

I wszystko szło wybornie, dopóki sprawa toczyła się z kurami, ród ten bowiem zaspany i potulny, ze zwykłą dobroduszością pozwalał na nadużycie, któremu nie mógł stawić oporu.

Ale gdy kolej przyszła na gęsi, rzeczy inną przybrały postać.

Skoro tylko zuchwała ręka złodzieja dotknęła się pierwszej gęsi, odezwały się w całym rodzie tam reprezentowanym sławne wspomnienia zamierzchłej przeszłości. Zdawało się tym potomkom obrońców Rzymu, że nowy Gall barbarzyńca staje im przed oczami i straszliwy wrzask rozpaczy i oburzenia przerwał głuche nocy milczenie.

Naturalnie na ten wrzask wszystko w domu rozbudziło się, a głównie właściciel kurnika, który poznał głos swoich ukochanych alumnów.

Złodzieje w nogi.

I udało się uciec temu, który był na parkanie, i temu, który za parkanem ukradzionego ptactwa pilnował; ale złoczyńca znajdujący się w wozowni i usiłujący uciszyć całą tę wrzawę, jakię stał się powodem, zapóźno pomyślał o odwrocie.

Schwyto go w chwili kiedy przełaził przez parkan, ściągnięto na ziemię i odprowadzono do policy.

Otóż my fakt ten, stwierdzający dawne podania i godny upamiętnienia w rocznikach dziejów ludzkich, postanowiliśmy przekazać potomności.

\* \* \*

Otrzymałmy sprawozdanie urzędowe komisji konkursowej we Lwowie, które tu, na żądanie nadsyłających, zamieszczamy dosłownie.

„W skutek rozpisania w r. z. konkursu o wyznaczoną w kwocie 300 zł. w. a. nagrodę za najlepszy utwór dramatyczny, nadesłano komisji konkursowej 26 sztuk wszelkiego rodzaju.

Wybrany z łona komisji ściślejszy komitet, do którego należeli pp. Leszek Borkowski jako przewodniczący, Ksawery Godebski, doktor Antoni Małecki, Adam Miłaszewski, Teofil Pietruski i Witalis Smochowski (ojciec) jako członkowie, a nakoniec Franciszek Waligórski jako sekretarz, przeczytawszy i oceniwszy wszystkie nadesłane sztuki, zgodził się jednomyślnie na to, że pomiędzy ubiegającymi się o nagrodę sztukami niema żadnej takiej, któraby bezwarunkowo zasługiwała na uwieńczenie; ale mimo to, stosując się do założenia programu konkursowego, zaproponował pełnej komisji przeznaczenie nagrody sztuce *stosunkowo* najlepszej pomiędzy ubiegającymi się i przedłożył jej w tym zamiarze do wyboru dwa zdaniem jego najlepsze dramata, mianowicie 5-cio aktowy dramat prozą pod tytułem „Żyd“ i 5-cio aktowy dramat wierszem miarowym pod tytułem „Tarło“.

Komisja pełna, odczytawszy obadwa te dramata, potwierdziła w zupełności zdanie komitetu ściślejszego, oraz przychylając się do jego propozycji, przyznała na posiedzeniu z d. 7 b. m. nagrodę 5-cio aktowemu dramatu prozą pod tytułem „Żyd“, z tém wszakże zastrzeżeniem, że jest to względne tylko uwieńczenie sztuki, *stosunkowo* najlepszej pomiędzy ubiegającymi się o nagrodę.

Z listu załączonego do tego dramatu i otworzonego w obecności pełnej komisji, pokazało się iż autorem jego jest p. Edward Lubowski w Warszawie, i pod tym też adresem odesłaną została nagroda.

Lwów, dnia 10 listopada 1868.

(podpisano) doktor Małecki,

zastępca przewodniczącego komisji.

(podpisano) Franciszek Waligórski, sekretarz.“

\* \* \*

Listopad, który oddawna uważany jest za miesiąc najbardziej z całego roku grozący śmiertelnością, dostrzymuje smutnej swojej sławy.

Z Francji dochodzą nas wiadomości o śmierci kilku ludzi, którzy bądź sławą słusznie zyskaną, bądź szeroko sięgającym wpływem, należeli do wielkiej rodziny europejskiej.

Pomiędzy innymi wyliczyć tu możemy Rossiniego, Jakuba Rotszylda i Havina, redaktora najpopularniejszego we Francji dziennika *Siècle*, którzy w jednym dniu podobno zmarli. Niebezpiecznie zaś i bez nadziei prawie chorzy są Lamartine i Józef Antoni Berryer, jeden z najsławniejszych mówców francuzkich i podpora legitymistów.

O Rossinim, którego Francuzi uważają jakby za swojego współziomka, większą bowiem część życia spędził w Paryżu, oddając teatrom francuzkim najznakomitsze swoje arcydzieła, krąży obecnie mnóstwo pośmiertnych anegdotek.

Pomiędzy innymi opowiadają, że twórca *Cyrylika Sewilskiego* zrobił dziwny zakład z Auberem, najstarszym i najbardziej cenionym z kompozytorów francuzkich.

Trzeba wiedzieć, że Rossini, jak i Auber, doszli do późnego wieku; ten ostatni jednak jest o osiem lat starszym, rodził się bowiem w r. 1784, podczas kiedy Rossini ujrzał światło dzienne w r. 1792.

Więc po śmierci Meyerbeera, który także w podszłym wieku umarł, znajdując się razem w towarzystwie, obaj kompozytorowie poczeli zgadywać na kogo teraz kolej umrzeć.

Auber, jako starszy, warował sobie pierwszeństwo; Rossini zaś twierdził, że znając dokładnie wyborny stan zdrowia kolegi, przekonany jest że przeżyje nie tylko wielu innych rówieśników, ale i jego samego, chociaż nie myśli tak prędko umierać.

## DROGA ŻELAZNA terespolsko-brzeska.

Sprzeczką przedłużała się, bo żaden nie myślał ustąpić, i przyszło wreszcie do zakładu.

Ten z zakładających się, który przeżyje drugiego, miał wypłacić spadkobiercom zmarłego pewną sumę pieniężną.

Rossini wygrał.

\* \* \*

I u nas śmierć zabiera swoje.

Zmarł w tych dniach Samuel Orgelbrand, jeden z najczynniejszych wydawców tutejszych.

Człowiek ten słusznie powinien zająć miejsce na kartach „Pomocy własnej”. Wyrósł bowiem przemyślnie i pracą, a wyrósł tak bujnie, że żadnemu może z wydawców krajowych nie udało się osiągnąć go rozgłosem i mieniem materyalnym.

Poważny poczet wydawnictw, który się łączy z jego nazwiskiem, a którego uwieńczeniem niejako jest Encyklopedia Powszechna, w bieżącym roku ukończona, najlepiej świadczy o niestrudzonej czynności i wytrwałości zmarłego.

Orgelbrand w przebiegu życia różnych doznał kolei. Człowiek łamiący się z losem i starający się nagiąć go do swojej woli, może użyć dobrego, ale i przez złe przejść musi koniecznie. Więc były chwile ciężkie nie tylko w początkach dorobku, kiedy trzeba było wytrwać pracą o każdy prawie grosz szermować, ale i później nawet.

Jednak nie wpłynęło to w nim na ostabienie ducha, ani nie naraziło w niczem tej słowności handlowej, którą sobie Orgelbrand za zasadę życia położył. Wydawnictwa jego nie doznały nigdy spóźnienia, prospekta nie kłamały ich wykonaniu. I do tej punktualności w dopełnianiu swoich zobowiązań tak przyzwyczaił publiczność, że publikacje zeszytowe, ze wszelkich stron naraziwszy sobie dobrą wiarę prenumerujących, jemu prawie tylko się udawały.

Podczas tych ciężkich nawet chwil o których wspomnieliśmy, umiał jednak Orgelbrand ocenić twardszy daleko los tych, którzy pracą słabo u nas opłacającą się zasilali jego wydawnictwa. Wiemy dokładnie o kilku takich faktach, które żyjący dotąd świadkowie potwierdzić mogą.

Co przyrzekł, do czego się zobowiązał, to wypełniał w każdym razie, i nikt mu pod tym względem zarzutów czynić nie może.

Ogromne zakłady jakie pozostawił po sobie, zostaną zapewne pod kierownictwem jednego z synów, którego już za życia w swoje interesa starał się wtajemniczyć.

\* \* \*

Zesłonięty koncert na dochód Stanisława Bogusławskiego, pomimo niepogody, liczną zgromadził publiczność. Rzecz to już dzisiaj spóźniona, zwłaszcza że kilka innych koncertów mamy zapowiedzianych.

Więc jutro odbędzie się poranek muzyczny deklamacyjny pana Świeszewskiego, w którym, oprócz części muzycznej, udział przyjąć mają pani Modrzejewska, p.p. Królikowski i Świeszewski. Spodziewać się należy licznego zebrania publiczności, która zdawna już sympatycznie przywykła oceniać ważny udział, jaki pan Świeszewski przyjmuje w pracach artystów sceny naszej.

Inny, również utalentowany artysta, pan Sawicki zmuszony jest obecnie używać koniecznych leńskich środków, dla poratowania pracą nadwątłego zdrowia. I dla niego więc koncert przez kolegów urządzony, stanie się koniecznym zasiłkiem, a koncert ten podobno urozmaicony będzie odegraniem komedyjki, w której pomiędzy innymi i pani Modrzejewska ma wziąć udział.

Należy tu także wspomnieć o koncercie Moniuszki, w którym wykonanym być ma jeden z najcenniejszych utworów tego kompozytora, przyjmowany zawsze z upodobaniem przez publiczność tutejszą.

Mówimy tu o Widmach.

Zdaje się więc, że jak na obecną porę, muzycznych występów nam nie brak. Pytanie tylko co nam pod tym względem da rok przyszły. Gdyby wierzyć plotkom..... ale szanującemu czytelników sprawozdawcy w plotki, nawet muzyczne, bawić się nie wypada.

Otwarcie w dniu 17m września roku zeszłego całej linii drogi żelaznej z Pragi do Terespoli, na przestrzeni przeszło 193 verst, ożywiło i podniosło tę część kraju, przez zbliżenie z Warszawą, jako głównym punktem tutejszego ruchu handlowego.

Wspomniona jednak linia nie miałaby przed sobą wielkiej przyszłości, gdyby nie spodziewane przedłużenie jej w dalszym kierunku.

Przyprowadzenie do skutku tego projektu, zależało głównie na wybudowaniu części drogi między Terespoliem a Brześciem, które w samym zaraz związku napotykało wieloliczne trudności, tak z przyczyn miejscowych przeszkód, jakoteż z powodu potrzeby wybudowania mostu na rzece Bugu, czyniącego ten kawałek drogi nadzwyczaj kosztownym.

Rząd przeto przedsięwziął sam zająć się opracowaniem szczegółowego projektu, a następnie i budową pomienionej linii i mostu, która się też obecnie dokonywa.

Linia nowobudowanej się kolei terespolsko-brzeskiej, której długość po głównej linii, wraz z projektowaną odnogą do debarkaderu na rzece Muchawcu, wynosi przeszło verst osiem, a z zapasowymi drogami verst przeszło dwanaście pojedynczej drogi, wychodząc ze stacy Terespol, zagina się lekkim łukiem w kierunku wschodnim, przechodzi rzekę Bug i idąc około fortecy, zakończy się na kobryńskim forsztaście stacyą Brześć.

W odległości około dwóch verst za stacyą Terespol, na rzece Bugu, zaprojektowany został most żelazny pod pojedynczą kolę, systemu kratowego, o czterech przęsłach, na trzech filarach i dwóch przyczółkach, długości 136 sażenów bieżących (952 stóp ang.), którego widok perspektywiczny w załączeniu przedstawiamy. (\*)

Przyczółki i filary rzeczonego mostu, zapuszczone będą do głębokości czterdziestu stóp angielskich pod zero wód rzeki Bugu, za pomocą parcia atmosferycznego.

Niższa część przyczółków do zera wód, zbudowaną będzie z betonu, składającego się z szabru z kamieni granitowych, na zaprawie hydraulicznej. Całe to wnętrze z masy betonowej, otoczone będzie zewnętrzną powłoką z blachy żelaznej, grubości trzy ósme cala ang. Ponad zero wód, przyczółki wymurowane zostaną z cegły na takiż zaprawie hydraulicznej, a pod poduszki mostowe położone zostaną dwa pokłady kamienia granitowego, dla odpowiedniego rozkładu parcia ferm na przyczółki.

Wnętrze filarów w całej ich wysokości, podobnie jak niższa część przyczółków, zbudowaną zostanie z betonu; zewnętrzna zaś powłoka składać się będzie w dolnej części do wysokości 16 stóp z blachy z żelaza kutego, trzy ósme cala ang. grubości; średnia część na wysokości 26 stóp z żelaza lanego grubości jeden i jedna czwarta cala ang., górna część nakonieć na wysokości 19 i pół stóp z takiegoż żelaza 2 i trzy ósme cala grubości. Wierzch filarów, w tymże samym celu jak i przyczółków, pokryty zostanie dwoma rzędami kamienia granitowego.

Na górnym pokładzie granitu zbudowanych w ten sposób przyczółków i filarów, położone zostaną poduszki żelazne, a na nich spoczywać będzie cała wierzchnia budowa mostu.

Godnym jest uwagi, że przyczółki rzeczonego mostu, jak wyżej wspomnieliśmy, zapuszczone będą do téjże samy co i filary głębokości. Poprzednio zwykłe przyczółków nie zapuszczano tak głęboko, co było powodem częstych podmywów, zagrażających nieraz samemu mostowi.

(\*) Drzeworyt tu zamieszczony zrobiony został podług dostarczonych nam łaskawie przez zarząd konstrukcyi tego mostu rysunków technicznych, ostatecznie już przez Władzę wyższą zatwierdzonych. Przedstawia więc tę budowę nie w takim stanie w jakim obecnie się znajduje, lecz w jakim będzie po ukończeniu. Połobnieć koryto Bugu płynie w téj chwili nieco dalej i w późniejszym dopięro czasie skierowanem zostanie w stronę mostu.

Fermy mostowe składać będą klatkę systemu kratowego, mającą w świetle szerokości 16 stóp ang., wysokości 21 stóp, wzniesioną ponad zero wód Bugu na stóp 20. Każda oddzielna boczna ferma pokrywać będzie dwa przęsła. Środki form spoczywać będą na poduszkach stałych, opartych na filarach pierwszym i trzecim, końce ich zaś na poduszkach ruchomych, opartych na przyczółkach i filarze drugim.

Cały most kosztować będzie około 425,000 rs., co na jeden sażen bieżący wyniesie około 3125 rubli srebrem.

Budowa mostu powierzona została znaną tutejszej fabryce pod firmą „Lilpop i Rau”, z warunkiem że ta robota w końcu roku przyszłego całkowicie ukończoną będzie.

Początkowo budowa mostu napotykała przeszkody. Przedsiębiorcy, zmuszeni niektóre części tegoż zamówić za granicą, postanowili je sprowadzić do Warszawy Wisłą, a następnie drogą terespolską na miejsce budowy. Znany jednak wszystkim tegoroczny niski stan wody na Wiśle, który do wyjątkowych zaliczyć wypada, utrudnił sprowadzenie wodą rzeczonych części; fabryka więc zmuszoną była przeladowywać takowe i koleją bydgoską do Warszawy sprowadzić. To spowodowało pewną zwłokę.

Obecnie atoli roboty postępują energicznie i zdaje się że wykończenie mostu na termin wyżej oznaczony, nie ulegnie z tego powodu żadnej zmianie.

Z wyjątkiem mostu i zabudowań stacyjnych, inne roboty na całej linii terespolsko-brzeskiej oddane zostały przedsiębiorcom Rau i Reichmann, za sumę ryczałtową 180,000 rs.

Za wynagrodzenie to przedsiębiorcy obowiązani są wykonać roboty ziemne, skarpy, biuzy, budowę wierzchnią oprócz szyn, przejazdu, domki dróżnicze i telegraf elektryczny, który zaopatrzony będzie w aparaty systemu Morsego, a nadto urządzone zostaną co wersta sygnały dzwonek elektryczne, podobnie jak na drodze żelaznej warszawsko-terespolskiej.

Relsy wraz z akcesoryami, zamówione zostały w zakładzie braci Dorlodót w Acóz w Belgii. Z dostawą na miejsce robót i uzyskaniem od fabryki pięcioletniej gwarancji, kosztować będą po 95 i pół kopiejek za pud.

Brzeska stacya, z powodu przewidywanego ruchu, zajmie przestrzeni przeszło dwie włóki. Na stacyi téj wzniesionym zostanie budynek pasażerski, remiza dla pomieszczenia czterech lokomotyw, dom dla służby stacyjnej, magazyn towarowy i inne niezbędne budowle.

Projekta wszystkich tych zabudowań już są w zupełności wykończone, roboty jednak dotąd rozpoczęte nie zostały.

Całkowity koszt budowy drogi terespolsko-brzeskiej, łącznie z budową mostu, zabudowaniami stacyjnymi, taborem i wydatkami na administracyą, wynosić będzie około 820,000 rs.

Roboty prowadzone są pod zwierzchnictwem umyślnie w tym celu ustanowionego komitetu, pod przewodnictwem generała Szuberskiego. Członkami komitetu są inżynierowie: generał Kwasznin-Samarin, radzca stanu Biergiel, pułkownik Szpiegiel i radzca stanu Tadeusz Chrzanowski, który jest zarazem konstruktorem całej linii i mostu. W skład służby wykonawczej wchodzi inżynierowie Liszko i Brzeziński, którzy poprzednio pracowali przy budowie mostu Aleksandrowskiego na rzece Wiśle.

Tak więc, w niezbyt odległej przyszłości, Warszawa otrzyma stałą komunikacyą z Brześciem Litewskim i dwa te miasta niewięcej jak ósmioma godzinami wygodnej i nieutrudniającej podróży przedzielone będą.

Dodać tu także winniśmy, że studia przedwstępne na przestrzeni od Brześcia ku Smoleńskowi i na południe do Berdyczewa w dwóch kierunkach, z których jeden na Pińsk, a drugi na Kowel, obecnie są dokonywane. Możemy więc mieć nadzieję, że w następstwie czasu budowa i tych linii rozpoczęta zostanie.

Edmund Różański.

## MAŻ UPATRZONY,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA, W DWÓCH CZĘŚCIACH,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

Część pierwsza.

(Z rysunkami Antoniego Zaleskiego).

(Dalszy ciąg).

Najprzód myślałem, jakimby sposobem można ten mur (mówiąc pod figurą), który mnie od niej dzieli, rozwalić i natomiast zbudować pomost złoty lub kwiecisty, stosownie do jej życzeń. Przemysliwałem nad tém, cobyto zrobić, aby zaraz na wstępie dać jej poznać że ją kocham, jak nikt inny kochać jej nie będzie!... Ale z drugiej strony zaśmiałem się sam z siebie, że coś podobnego w głowie układam, nie widziawszy jej nawet... A gdym się nad tém bliżej zastanowił, spostrzegłem że to nie są myśli, ale marzenia. Otóż marzyłem słodko i rozkosznie! Poznałem, że można być szczęśliwym, nie mając rzeczywistości, i teraz dopiero zrozumiałem szczęście poetów i tych wszystkich, którzy nie mogą sobie kupić rzeczywistości...

Byłem już czas niejaki w tém dziwném usposobieniu, jakiego doznawałem poraz pierwszy w życiu, gdy nagle usłyszałem jakąś niewyraźną zrazu muzykę. Były to tony pojedyncze, zléwające się z sobą w jakąś dziwną harmonią. Takiej muzyki nigdy nie słyszałem.



Przytknąłem nos i oczy do ciemnej rury.

Powoli coraz głośnieji i wyraźniej przebijały tony mur zawistny, który mnie dzielił od Sydonii. Dziwném wydawało mi się to głośnie dochodzenie tonów przez ścianę murowaną. Później dopiero spostrzegłem, że dom państwa Alfonsów ogrzewał się na sposób Meisnerowski.

Mój Boże! ś. p. Meisner ani pomyślał sobie, że kiedyś jego system ogrzewania domów posłuży potomkowi również ś. p. Janka z Mielnicy do zakochania się w pannie Sydonii. Uczony Niemiec nie przypuszczał wcale, że przysłuży się biednemu spadkobiercy ś. p. Witalisa i pomoże mu do spełnienia ostatniej woli rodzica.

Ciepłonośne rury Meisnera przynosiły mi w tej chwili najwyraźniejsze tony doskonałego fortepianu. Rzuciłem się na szeslong, który stał pod tą ścianą i zacząłem słuchać z całą uwagą. Chciałem rozpoznać jakiego kompozytora utwory wykonywają w tej chwili bielutkie jej paluszki, ale na żaden sposób nie mogłem. Nie była to gra przez kogoś już w pismo ujęta. Były to jakieś zbłąkane, pojedynczo odzywające się akordy i tony. Zdaje się że Sydonia szukała dopiero nastroju dla swojej duszy. Były to tony smutne i rzewne, była to jakaś skarga bolesna!

Dziwnym zaiste bywa czasem czło-

wiek. Zazwyczaj każda skarga, wychodząca z ust nędzarza łachmanami okrytego, lub kobiety cisnącej do



Wezwałem na świadka księżyc...

obnażonej piersi zziębnięte niemowlę, sprawia nam pewne bolesne wrażenie. Okupujemy się od tej skargi i uciekamy. Skarga jednak z ust pięknej,

młodej kobiety, błyszczącej strojem i klejnotami, jest dla naszego ucha tak rozkoszną, żebyśmy jej przez wieki słuchali!... A gdyby jeszcze z tą skargą połączyły się łzy i westchnienia, gdybyśmy na twarzy skarżącej się widzieli odbitą najwyższą boleść i tęsknotę, chcielibyśmy widok ten przedłużyć bodaj nazawsze... Cóż to za dziwna tajemnica spoczywa w sercu naszym! Ja tej tajemnicy jeszcze dzisiaj rozwiązać nie potrafię; może uczynię to jutro lub pojutrze, gdy mnie ogarnie oko Sydonii...

Słuchałem więc tych tonów z całą rozkoszą i zdawało mi się, że dusza moja im wtórowała. Aż wtem naraz słyszę kilka tonów odmiennych... Sydonia

(odgadywałem że to ona) zaczęła śpiewać. Zrazu płynął ten śpiew cicho, podobny do szmeru wody lub powiewu wiosennego wietrzyka. Powoli rósł i uwydatniał się coraz więcej. Wreszcie zasłyszałem wyraźnie, dzięki systemowi Meisnera:

„W majowym ranku róż  
Widziałam ciebie już,  
Wtedy już znałam cię,  
A ty kochałeś mnie...”

Po tej wrotce nastąpiła pauza i długa przygrywka. Podczas pauzy najdziwniejsze myśli cisnęły mi się do głowy. Nieprzyzwyczajony do nich, byłem oszołomiony i nie wiedziałem o sobie. Pieśń ta dziwna była tak stosowna do mego usposobienia, I ja też nie znałem jeszcze Sydonii, a już ją kochałem!... A nawet w duchu wyobrażałem sobie groźnych rywali i walczyłem z nimi...

Po niejakiem uspokojeniu się, zacząłem trzeźwiej myśleć. Uderzyło mnie to, że Sydonia śpiewała po polsku. Osoby jej urodzenia nie śpiewają nigdy po polsku. Używają do tego języka francuzkiego lub włoskiego, którego to ostatniego najczęściej nawet nie rozumieją. Jest w tém zawsze coś pańskiego. Przyznam się, że i ja rad wplątałem francuzkę do krajowego języka, bo to przecież jakoś człowieka nad głupi gmin wywyższa.

Wracając jednak do Sydonii, byłem tego przekonania, że taka osoba nie powinna ani tknąć się języka gminnego. Tak przynajmniej widziałem na wielkim świecie. Używanie zaś rodzimego języka oznacza zawsze pewną równość z tymi, którzy nas otaczają. Jakkolwiek w domu i między nami, którzyśmy ten dom zapełniali w tej chwili, była francuzczyzna jakby w drugiej swojej ojczyźnie, używanie jednak przy śpiewie języka krajowego ze strony Sydonii, stało się dla mnie jasną wskazówką, że ona nie ma owęj fummy wysoko-książęcej, która patrzy przez ramię chociażby



To panna Sydonia gra w bilard?

na najlepiej urodzonego szlachcica. Tak wytłumaczyłem sobie tę polską piosnkę.

Zaledwie tę myśl szczęśliwą uchwyciłem, już usłyszałem drugą wrotkę tej piosnki, jakby umyślnie dla mnie ułożonej:

Gdzie Boga słonko lśni,  
Tam byłeś bratem mi.  
Dziś, gdy znalazłam cię,  
Kochaj mnie — kochaj mnie!...

Powiedz sama, kochana ciciu, coby się było stało, gdybyś na mojem miejscu dawniej, tak naprzykład przed dziesięciu lub piętnastu laty, podobną pieśń przez meisnerowski aparat zasłyszała! Nie przesadzam, ale miałem wielką ochotę wziąć od stróża siekiere i ten mur przekłęty rozwalić.

Tony ucichały coraz więcej, jakby kto kłapę od rury meisnerowskiej zamykał. Wkońcu umilkło wszystko, zapadła cisza głucha, o jakiej często w romansach czytałem, a której dotąd wyobrazić sobie nigdy nie mogłem. Była to cisza nader wymowna. W powietrzu drżały jeszcze gdzieś te tony i słowa, które tak słodko uderzyły o serce moje... jeszcze gdzieś po ciemnych kątach błąkały się pojedyncze frazesy melodyi, która była tak rzewna i smu-



Zaprzątniona odpowiedzią Fredziowi, trzymała chwilę rękę moję w swojej dłoni.

tna... A jednak w koło mnie było już cicho, zupełnie cicho!

Gdybym pisał do druku, opisałbym tu jeszcze moje sny i marzenia, jakie podczas zeszłej nocy nieustannie mnie napastowały, odmalowałbym żywymi barwami wszystkie te uczucia, które podczas tych snów i marzeń przez moje serce kolejną przechodziły.. Ale pisząc tylko dla cici Euzebie, nie widzę potrzeby męczyć się tak szerokiemi pisaniami, tém bardziej że nastąpią rzeczy daleko od moich snów i marzeń ciekawsze, na które trzeba zachować i pióro i palec. Przespawszy więc, czy raczej prześniwszy resztę nocy, zbudzony zostałem stukiem pode drzwi. Potrzeba było wstać i ubrać się, bo zegarek mój okazywał dziesiątą. Spieszyłem się w tej myśli, że ją obaczę przy śniadaniu. Ale inaczej chciały losy. Przyszedł do mnie lokaj z małą tacką, przynosząc herbatę i dzienniki.

Od tego czasu byłem pozostawiony sam sobie. Przeczytałem pobieżnie jakiś dziennik francuzki, przejrzałem Illustracyą angielską (ilustrowanych pism warszawskich nie prenumerują panowie galicyjscy); lecz wszystko to nie uspokoiło mnie ani trochę. Obejrzałem całą ścianę od sufitu do posadzki, odstawiłem szeszlony i szafkę małą, położyłem się wreszcie na ziemi i przytknąłem oczy do ciemnej rury systematu Meisnera; ale ani śladu żyjącej istoty nie odkryłem.

Kilka razy chciałem wyjść i od domowników zaczerpnąć bliższych wiadomości o Sydonii. Po chwili jednak namysłu, uznałem to za niestosowne. Do gospodarza zaś domu udawać się nie chciałem niezawezwany, wiedząc że gość nie powinien nikomu być ciężarem. Przesiedziałem tak godzin kilka.

Wreszcie między pierwszą a drugą zaproszono mnie do śniadania *à la fourchette*. Pomny rady cici, ubrałem się starannie, chociaż bez żadnej pretensyi. Wziąłem na siebie surducik domowy paryzkiej roboty i kołnierzyki angielskie wykładane, z którymi, jak ciocia utrzymuje, tak mi jest do twarzy. Spóźniłem się nieco naumyślnie, aby tém większy efekt zrobić. Wchodzę... oglądam się na wszystkie strony... ale prócz znacznie już wypróżnionych półmisków, nic nie widzę...

Cóż było robić? Potrzeba było ratować to, co ratować się dało z rozbitych marzeń. Wziąłem się więc czempredziej do pozostałego kawałka pałacu, po który właśnie jakiś rezydent starszek sięgał, i zjadłem go z wyborynym apetytem, spowodowanym przez głód fizyczny i tak długie mo-



Widok perspektywny mostu kratowego na rzece Bugu, pod Terespołem. (Rysował na miejscu Ksawery Pillati.)

ralne tortury oczekiwania... Przynależem się potem do pana Alfonsa i nieznacznie zapytałem o pannę Sydonię. Otrzymałem odpowiedź, że jeszcze cierpiąca.

Zakąsiłem po tych słowach resztę pasztetu i przyznam się, że ta zakąska była dosyć kwaśna. Nie skrzywiłem się jednak, aby po sobie nie dać poznać wewnętrznego stanu duszy, jak mi ciocia w liście swoim nakazywała. Nie mogąc przecież dalej prowadzić rozmowy, bo system meisnerowski ciągle tkwił mi w głowie, zaproponowałem panu Henrykowi, temu juryscie, o którym już raz ciocia wspomniałem, kilka partyj bilardu.

Przyznam się ciocie, że ten jurysta niebardzo mi przypadł do smaku. Najprzód nie należał właściwie do towarzystwa, tylko, jak się wydawało, był przez wyjątkowy swój stosunek cierpiący. Jako syn dzierżawcy, mieszkającego o kilkaset kroków na folwarku, był codziennym gościem we dworze, bo na wsi i takim ludziom daje się dla rozmaitości wstęp do siebie. Tego jednak wyjątkowego przywileju dosyć widocznie nadużywał pan jurysta. Czytując bowiem więcej od innych i mając już z obowiązku więcej do czynienia z książkami, imponował nam czasem swoją erudycją, a nawet mnie dwa razy na jakimś błędzie historycznym uchwycił. Mimo to wszystko towarzystwo jego jest tu jedynie stosowne dla mnie, bo wiekiem prawie mi równy.

Przegraliśmy dwie partye w milczeniu. Przy trzeciej ozwał się jurysta:

— Panna Sydonia wybornie umie taką duble robić.

— Panna Sydonia gra w bilard? zapytałem śpiesznie i otworzyłem usta z ciekawości.

— Gra doskonale, odparł obojętnie jurysta; codziennie przegrywam z nią kilka partyj.

Po tych słowach odeszła mi ochota do gry. Jurysta temi kilkoma słowy poruszył w mojej głowie całą tłum marzeń i myśli, jakie przez noc wczorajszą wyległy się w mojej rozgorączkowanej wyobraźni.

Zastanawiam się w tej chwili nad tém. Cóż mogły mnie tak bardzo interesować słowa jurysty?

Czy kochałem się już w Sydonii? Czem jest właściwie miłość? Jak się ona poczyna?... Mam wielką ochotę odpowiedzieć na to, że poczyna się w wyobraźni. Nie sam widok osoby zaszczenia w nas to uczucie, ale pierwsza myśl o niej, pierwsze marzenie, zbiegiem okoliczności wywołane, choćbyśmy jeszcze tej osoby nie widzieli.

Otóż według tej mojej filozofii, zdaje mi się że już wtedy kochałem się w Sydonii, gdy jurysta te słowa wymówił. Nie mogłem więc grać dalej w bilard, bo w sercu mojem ozwała się gra inna.

Odłożywszy kij na bok i obejrzawszy się starannie w około, jak to ciocia zaleca, rzekłem do jurysty:

— Pan grywasz z Sydonią w bilard, to zapewne znasz ją dobrze. Często w tym domu słyszę o niej, a chociaż żadnego szczególnego interesu w tém nie mam (prawda że korzystam z nauki ciocie?), radbym przecież ją obaczyć, czy istotnie jest tak piękną, jak o niej powszechnie mówią.

Jurysta obojętnie mnie słuchał, przystąpił do okna i bębnił w szybę palcami. Po chwili odparł:

— Panna Sydonia jest rzeczywiście piękną i byłaby może jedną z najpiękniejszych kobiet na ziemi, gdyby tej zewnętrznej piękności odpowiadała równa piękność duszy.

— Jakto, podjąłem skwapliwie, czy tego szczęśliwego wypadku niema u niej?

— Nie mówię że niema, — nie twierdę że jest. Pod tym względem zostaje w zupełnej nieświadomości...

— Pan grywasz tak często z nią w bilard i jeszcze dobrze jej nie znasz? A od czego oko i rozum?

Rozśmiał się na to sardonicznym uśmiechem jurysta, podgarnął czuprynę do góry i odparł:

— Są inne, daleko więcej zbliżające gry niżeli gra bilardowa, a przecież poznać w nich nie można co się tam wewnątrz dzieje. Sztuka imitacji jest dzisiaj wysoko wydoskonaloną i w modzie. Mamy złoto imitowane, mamy perły, brylanty i pocziwe srebro naśladowane. Jubiler już nawet nie kryje się z tém i publicznie je sprzedaje. Dzisiaj bowiem weszła w życie ta oddawna propagowana zasada, że nie suknią człowiekowi wartość nadaje, ale człowiek

sukni. Gdy księżna ubierze się w imitowane perły i brylanty, to nikt jej o imitacją nie posądzi. Prawdziwe zaś perły i klejnoty żony piekarza, bierze każdy za naśladowanie.

— To prawda... rzeczywiście.

— Taką zasadę przyjęli ludzie. Kobiętom na przykład pięknym i wyżej urodzonym wolno nosić klejnoty imitowane i nikt im bynajmniej tego za złe nie bierze, a raczej to złe prędko przebacza się i zapomina.

— Jakim sposobem stosujesz pan to do panny Sydonii, która jest i piękna i wyżej w towarzystwie położona?

— Bo widzę w niej wiele klejnotów, drogich pereł i brylantów, ale nie wiem czy są prawdziwe czy imitowane, tak samo jak nie wiem czy brylanty księżny X., które przed dwoma tygodniami na balu widziałem, nie są zgrabnym tylko fałszem.

— I gdzieżby to księżna ubierała się w imitacją!...

— Otóż tak sądzi każdy, a na tym gruncie buduje się fałsz.

Po tych słowach nastąpiła pauza. Nie mogłem go dobrze rozumieć. W jego słowach było coś ukrytego, czego nie umiałem się domyśleć. To przecież co mi powiedział, wystarczało, aby mi nieco myśli pomógł i czyste niebo marzeń zasępić chmurkami. Chcąc jednak jaknajkrótszą drogą dowiedzieć się czegoś pewniejszego o Sydonii, zapytałem go:

— Czy od tej prelekcji o imitacjach nie mógłbyś pan zejść do panny Sydonii i o niej coś powiedzieć? Wprawdzie jako osoba mi nieznana, wiele mnie nie interesuje, ale radbym zawsze wiedzieć coś o niej, nim ją poznam. Tém ciekawszem staje się wtedy samo poznanie, bo człowiek ma już w tém jakiś interes...

— Nie mogę panu w tém służyć, a nawet byłoby nieuczciwie z mojej strony, gdybym pana uprzedził o osobie której jeszcze nie widziałem. Któż mi zaręczy, że moje zdanie jest prawdziwe?

Rzekłszy to, zaczął znowu stukać po szybie. Zmarznięta szyba wydawała odgłos bębna wysoko nastrojonego. Wnosiłem ztąd że umysł jurysty wyjątkowo jest nastrojony. Trudna więc i niezrozumiała byłaby dalsza z nim rozmowa.

Zamiast mi mówić wprost o Sydonii, byłby jeszcze rozwodził się długo w ogólnikach o fałszach i imitacjach, które dzisiaj nawet publicznie za oknem każdego fryzjera oglądać można. Z tego nie miałbym żadnej a żadnej korzyści. Zostawiłem przeto jurystę bębniącego na szybie, a sam udałem się do gabinetu pana Alfonsa, gdzie oglądaliśmy ładne ryciny angielskie, przedstawiające różne rasy koni.

Wreszcie zaproszono nas do obiadu. Obejrzałem się w zwierciadle, w przypuszczeniu że i Sydonia przyjdzie. I rzeczywiście było jedno nakrycie próżne, zaraz koło pani Alfonsowej. Ale minęła zupa, przeszły paszteciki z siekaną rybą, a nawet i poledwica zaczęła już krążyć, a nakrycie, czy raczej talerz i łyżka, stały jeszcze osamotnione. Wreszcie spojrzęła pani Alfonsowa na zegarek, pomyślała chwilę i rzekła:

— Jak widzę, to Sydonia i dzisiaj nie przybędzie do naszego towarzystwa. Ona zameczy się w samotności.

Na to nikt nic nie odpowiedział. Jurysta położył rękę na krawędzi talerza i zaczął znowu bębnić. Przyznam się ciocie, nie wiem dlaczego, ale to bębnienie jurysty, ilekroć mowa jest o Sydonii, nadzwyczaj mnie drażni, i miałbym wtedy wielką ochotę pobębnić mu dobrze po grzbiecie.

Obiad się skończył, podano czarną kawę, a Sydonii nie było. Zaczęło mnie to gniewać naprawdę. Mogłem to wziąć za jakąś demonstracją przeciwko sobie. Chciałem to nawet dać poznać pani Alfonsowej i rzekłem:

— Nie wiem dlaczego panna Sydonia skazuje się na samotność. Może to ja temu winienem. Każę więc zaprzężyć konie i odjadę; na cóż mam psuć harmonią domu.

Gdym te słowa mówił, patrzyła na mnie pani Alfonsowa z jakimś dziwnym uśmiechem i rzekła po chwili:

— Nie wierzę temu, abyś pan na seryo chciał odejść. Mówisz to tylko w gniewie, że Sydonia kaprysi... Ale cierpliwości trochę, panie Nepomucenie, a wszystko będzie wynagrodzone.

Pani Alfonsowa powiedziała to z taką szczerością, że nie mogłem jej na to nic odpowiedzieć. Uśmiechnęła się i podała mi rękę, którą gorąco uściśnięłem.

Odszedłem po obiedzie do mego pokoiku, w nadziei że system meisnerowski przyniesie do mego ucha choć jedno słówko od panny Sydonii. Zdaje się jednak, że tym razem wszystkie klapy musiały być pozamykane, bo nawet ani szmeru żadnego nie słyszałem.

Rzuciłem się na szezłag i zacząłem znowu myśleć i marzyć. Mój Boże, czegoż to kobieta, nota bene ładna i młoda, nie nauczy człowieka!... Tak jest, myślałem i marzyłem za całe moje dotychczasowe życie... Wreszcie nadchodził wieczór, a ja w rozpaczy nie miałem już innego konceptu, jak zaproponować panu Alfonsowi pikietę. Pan Alfons jednak spojrzęł na zegarek, pomyślał trochę, jakby coś obliczał, a potem odparł:

— Wstrzymamy się jeszcze od pikietę. Prawdopodobnie nadjedzie Fredzio, to zagramy preferansika.

— Pan Gotfred? zapytałem z radością, pan Gotfred przyjedzie? Bardzo się z tego cieszę. Poznaliśmy się w Paryżu.

I zaledwo te słowa wymówiłem, zaturkotał powóz przed gankiem, a przed nami stanął Fredzio.

Pan Gotfred, jest to człowiek dystyngowany. Wprawdzie żył już dosyć na świecie, może jednak uchodzić za epuzera, chociaż sam o tém nigdy nie myśli. Ma znaczny majątek i żyje sobie sam dla siebie.

Uradowałem się takim towarzyszem, bo jurysta już mnie gniewać zaczynał, a zresztą z Fredziem mogliśmy jak swoi swobodnie rozmawiać, nie obawiając się żadnej akademickiej kontroli, jaką zawsze nademną rozciągał jurysta.

Mogliśmy sobie według upodobania zmieniać daty historyczne, kłaść Zygmunta przed Jagiełłą, a Barbarę przed Jadwigą i nikt nam tego za złe nie poczynał, bo nikt nie był pewny swego twierdzenia i swojej erudycji.

Nie tracąc czasu, zasiedliśmy zaraz do preferansika, zapaliliśmy wyborne amerykańskie cygara.

Nie wiem dlaczego ludzie zazdroszczą nam tego spokojnego życia. Hałasują tam na nas, że nie kupujemy i nie czytamy książek!... Najprzód kupować dzisiaj niema zaco, bo San wylał, a resztę grad wybił i kraj cały zubożał. Powtóre powinniśmy mieć wolność osobistą rozrządzania swoim groszem jak nam się podoba, bo na grosz ten przodkowie nasi krwią swoją zarobili.

Przegraliśmy jedną pulkę i zapłaciłem siedem dukatów. Szczęście widocznie mnie unikało. Cieszyło mnie to, bo dawało mi nadzieję, że dzisiaj będę szczęśliwym na innej drodze. Ale przed tém szczęściem mojem miałem jeszcze małe zmartwienie. Jurysta przypatrywał się grze naszej, a nawet czasami mi doradzał. Z żalem patrzył na moje siedem dukatów i chcąc niby pocieszyć, zaczął ze mną rozmowę o stosunkach społecznych i o literaturze. Między innymi mówił:

— Czy sądzisz pan, że upadek literatury w Galicyi jest skutkiem klęsk czasowych?

— A jużci nie czego innego, odpowiedziałem, bo przecież cały świat wie, że jesteśmy ubodzy, że nie mamy zaco książek kupować, ani pism czasowych trzymać. I zkadże tu jeszcze na literaturę wziąć pieniędzy?

Uśmiechnął się na to ironicznie jurysta, pobębnił trochę po stole i odparł, nie patrząc mi w oczy:

— Zdaje mi się że inny jest powód upadku literatury. Jabym sądził, że to brak wyższego wykształcenia, pewna głupia zarozumiałość ludzi bogatszych, że do ich majątku już im ani nauki, ani literatury nie potrzeba, i wynikający z tego idiotyzm umysłowy, po którym mieszkańcy innych dzielnic poznają odrazu za granicą Galicyanina. Na książki niema pieniędzy, a na wygodki życia, na ekwipaż i preferansika zawsze się znajdują.

Nie chciałem z tym zarozumiałcem wdawać się w spór, bo już to z natury sprzeczek nie lubię. Zresztą zawołano do herbaty, z czego każdy z nas był kontent, bo rozmowa stała się dosyć jałową.

Przy herbacie spostrzegłem, że przy pani Alfonsowej stała i teraz jedna filiżanka ze spodkiem, a krzesło obok niej było próżne. Inni zdawali się nie zważać na to, tylko z hałasem zasiadli na miejscach, rozpoczęli gwarą rozmowę. Mówiliśmy o Napoleonie i Meksyku, o finansach austriackich i pruskiej broni odtłocowej, a przytęm popijaliśmy wyborną herbatę i spożywalimy wykwiłtne przekąski. I wśród tych darów Bożych byłym może o panie Sydonii zupełnie zapomniał, gdyby w tej chwili sama się nie przypomniała.

Zwolna, leniwym krokiem, znamionującym kobiety nerwowe, weszła do salonu. Widok jej sprawił powszechną ciszę. I w sumie rzecz godną była tej ciszy. Jestem pewny, że gdyby ukazała się rozżukanemu morzu, morze uciszyłoby się nagle.

Wyobraź sobie ciocia piękność skończoną, tak jak ją Kanowa pojmował, którego przesłizną Wenus widziałem... sam nie wiem gdzie. Ale mniejsza o miasto które to arcydzieło posiada, dosyć że panna Sydonia w niczym mu nie ustępowała. Białosc jej twarzy i rąk, to białosc marmurowa u Kanowy. O kształtach jej nie pisać nie będę, tylko raz jeszcze powtarzam, że była podobną do Wenery, jeżeli nie medycejskiej, to przynajmniej Kanowy.

Na twarzy była może dzisiaj nieco bledsza jak zwykle. Wczorajsza widać bezsenność zostawiła swoje ślady.

Mówię cioci, że zapomniał języka w ustach, a sardynki na widelcu i długo pozostałem w osłupieniu. Dopiero gdy usłyszałem z ust pani Alfonsowej moje nazwisko, przyszedłem do siebie i ukloniłem się.

Siedziałem bardzo dobrze. Mogłem ją widzieć prawie *en face*. Spostrzegłem wyraźnie jak jej duże, błękitne oczy powoli podnosiły się na mnie. Mówię cioci, że takiego wejrzenia nigdy nie widziałem. Czulem że to oko dotyka się moich wąsów, mego nosa i brodki à la Napoleon. Potem czulem że to spojrzenie ogarnęło mnie całego.

Spuściłem oczy na talerz, bo jakaś nieśmiałość opanowała mnie w tej chwili.

Jurysta, który siedział tuż za mną, zaczął znowu bębnić po talerzu. Panna Sydonia uśmiechnęła się i rzekła:

— Przepraszam pana, panie Henryku, że nie przyniosła z sobą owęj przesłizną piosnki, którą mi pan dał niedawno. Próbowałam ją wczoraj, ale nie wiem czy kompozytor i poeta będzie ze mnie zadowolony.

Rozświściło mi się teraz w głowie. Owa polska piosenka, która wczorajszej nocy przez rurę Meisnera do moich uszu doszła, była kompozycji jurysty, który właśnie w tej chwili mocno się zarumienił i takt podwójny na talerzu wybijał.

Patrzyłem chwilę na pannę Sydonię, która z jurysty oczu nie spuszczała. Gnięwało mnie to i rzekłem:

— Więc to nie tylko pani, ale i panu Henrykowi zawdzięczam tak przyjemną chwilę, jaką miałem wczoraj słuchając tej piosenki.

— Czy pan mieszka obok mego saloniku? zapytała skwapliwie panna Sydonia i znowu duże swoje oczy przesunęła po mojej twarzy.

— Zdaje się że gdzieś blisko pani mieszkam, skoro piosnkę wybornie słyszałem. Mogę nawet powtórzyć pierwszą wrotkę.

Sydonia posmutniała nagle i spuściła oczy na talerz. Usta jej otworzyły się z lekkim kaprysiem i rzekła do mnie:

— Zdaje mi się, żeś mi pan coś zabrał, co miało być wyłączną moją własnością. Było to nieszlachetnie ze strony pana. Gra moja wraz ze śpiewem, już po dwunastej godzinie w nocy, należały wyłącznie do mnie. Pan przewiniłeś, zabierając je do swego ucha.

— Już to s. p. Meisner zawinił, a nie ja, odpowiedziałem, bo ta wyłączna własność pani przyszła do mnie przez rurę meisnerowską.

— Brawo, panie Nepomucenie, zawołał Fredzio, który siedział po drugiej stronie i zrazu wcale do rozmowy się nie mieszał.

Sydonia podniosła zwolna oczy i uderzyła niemi Fredzia. Tak jest, nie przesadzam, to nie było zwykłe spojrzenie, ale uderzenie tak silne, że twarz Fredzia zarumieniła się trochę.

— Czy panu tak się podobają dysonanse, że bra-

wo dałeś? zapytała go z kaprysiem na ustach i czole.

Co chciała tym słowem „dysonanse“ powiedzieć, tego nie mogłem odgadnąć. Przecież nie głupiego nie powiedziałem, coby dysharmonowało z gustem powszechnym. Była to jakaś gra wyrazów, której nie rozumiałem, bo do niej nie miałem klucza.

— Przeciwnie, odparł Fredzio, dałem pani nieraz dowody, że tylko harmonią lubię.

— Otóż ja za to szczerze wyznaję, że wolę dysonanse, rzekła Sydonia. Zresztą muzyka Wagnera, o której mówią że jest muzyką przyszłości, ma przecież pełno najpiękniejszych dysonansów.

— Zostawiam pani to zamiłowanie do dysonansów i z tej wyłącznej własności pani nic a nic nie zabiorę, jak to uczynił pan Nepomucen.

Panna Sydonia uderzyła po raz wtóry oczyma w twarz Fredzia i odtrąciła ją. Tak mi się wyraźnie wydawało.

— Więc pan lubisz muzykę, rzekła do mnie, jeśliś tak chciwie korzystał z wynalazku Meisnera?

— A któżby nie słuchał, bodaj na wieki, takiego śpiewu, jaki wczorajszej nocy przefiltrował się do mnie przez rurę ciepłonośną? Wszak to mi do rana spać nie dało, a com w tym czasie przemarzył!...

Sydonia uśmiechnęła się na te słowa. Widać że zapewne jej się podobały.

Tu rozpoczęła pani Alfonsowa jakiś długi dyskurs o modach parzykich i kadrylu wykonanym przez dwór Napoleona na koniach. Na domiar tego wszystkiego śpiewał jeszcze jurysta owę piosenkę o majowym ranku. Piosenka ta strasznie mi się tym razem nie podobała. Była monotonna i grzeszyła przeciw harmonii. Nawet akompaniament był fałszywy.

— Tak to, pomyślałem sobie, niejedna kompozycja wydałaby się daleko lepiej, gdyby ją kompozytor do uszu słuchaczy przeciągał przez rurę meisnerowską.

Wkrótce po tej mojej uwadze sekretnej rozeszło się towarzystwo. Na tym także kończę ten list, a jutro niech się ciocia przygotuje na okropne rzeczy. Babci całuję rączki.“

Gdy ciocia Euzebia ten list do końca przeczytała, położyła go przed sobą i długo, długo nad nim myślała. Była już bardzo późna, a raczej wybiła ranna godzina, gdy w pokoju cioci Euzebie zagasło wreszcie światło.

Rano cofnęła ciocia swój rozkaz wczorajszy. Postanowiła nie jechać do państwa Alfonsów, a to w przekonaniu, że z listów Nepcia daleko więcej się dowiędzi, niżeli od niego samego. Niebezpieczeństwo, jeśli było jakie, to już i tak przeminęło, skoro Nepcio tak długi list mógł napisać. Dla uspokojenia zaś babci przeczytała z odebranego listu tyle, ile jej potrzeba było wiedzieć i poszła razem z nią na nabożeństwo, co babcię i księdza Celestyna mocno ucieszyło.

Pod wieczór, drogą zwyczajną, odebrała ciocia Euzebia list drugi.

„Dla uspokojenia cioci, pisał zaraz na wstępie Nepcio, opowiadam dalej historią mego pobytu u państwa Alfonsów i mego serca. Jest ona nieco bolesna i zawiła, ale przecież wyjaśnia się niebo nademną...“

Zaraz po rozejściu się towarzystwa odszedłem do mego pokoju, olśniony widokiem i rozmową Sydonii. To com widział i słyszał, przewyższało wszelkie moje oczekiwania. Byłem poprostu zakuty w kajdany, jak to mówią, złote. Jabym dla niej nosił i żelazne. Gdzie tylko oczy zwróciłem, czy to na sufit, czy na szafkę palisandrową, wszędzie ją widziałem, jej twarz białosci arystokratycznej, jej duże, powoli obracające się oczy...

Przypomniałem sobie, że tylko cienka ściana oddziela mnie od niej. Przez tę ścianę słyszałem wczoraj przesłizną jej śpiew, gdy jeszcze nie wiedziała że obok niej mieszkam. Dzisiaj, gdy już wie o tym, cóż mi zaśpiewa? A serce moje mówiło mi wyraźnie, że zaśpiewać i zagrać powinna..

I zgadło serce. Zaledwie na szeszlunku usiadłem, wysunęły się z rury meisnerowskiej jakieś przesłiznane akordy. Po akordach poznałem, że będzie

śpiewać. Serce moje skakało z radości. Ale tym razem nie było dla niego odpowiedniej struny. Sydonia śpiewała wprawdzie, ale śpiewała jakąś aryjkę po włosku. Piosenka ta nie tak już przemówiła do mnie, jak owa „W majowym ranku róż“, która jakby dla mnie była ułożoną, choć wiem że nie dla mnie napisał ją jurysta.

Wreszcie piosenka ucichła i akordy fortepianu zastrzegły gdzieś w rurze meisnerowskiej. Nastąpiła cisza, wskazująca że Sydonia odeszła już z saloniku swego do sypialni. Cisza ta była mi nawet potrzebną, miałem bowiem zebrać wszystkie myśli moje, aby plan na jutro ułożyć.

Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że rzeczywiście kochałem Sydonię. Królowała napiętkne w sercu moim. Poprzysiągłem sobie po cichu nie inną, tylko jej jedną holdować. Wezwałem na świadka księżyc, który był właśnie w trzeciej kwadrze, i jemu powierzyłem tajemnicę mego serca. Przyobiecałem mu, że walczyć będę do upadłego i że nic mnie z raz obranej drogi nie zwróci.

Przystąpiłem teraz do ułożenia planu. Zaraz na wstępie do tej roboty przypomniałem sobie radę Nr. 2, jaką mi ciocia w swoim liście podaje. Pisała ciocia, abym się przy wynurzeniu mego afektu wystrzegł wszelkich form konwencyonalnych, bo te nie przypadną do smaku romantycznej panny Sydonii. Mówi ciocia, że istota nadzwyczajna musi nadzwyczajną drogą być zdobyta. Sydonię może tylko gwałtowna miłość skłonić do oddania komuś rączki, a tę gwałtowną miłość zdobywa się wyjątkowymi jedynie środkami. W towarzystwie konwencyonalnie ugrupowanym, w salonie, gdzie wszystko dowcipnie i z uśmiechem na twarzy podawać trzeba, nie wykrzeszesz z serca kobiety takiej miłości.

Ten ustęp listu cioci przypomniałem sobie. Po bliższej rozwadze poznałem, że ciocia, jak zawsze, tak i teraz ma zupełną słuszność. W tym towarzystwie, w jakim Sydonię widywałem, cóż mogłem jej powiedzieć? Dowcip jaki spowodowałby przelotny uśmiech na jej pięknej twarzy, sentymentalne oświadczenie możeby spotęgowało ten uśmiech i wywołało znowu „bravo“ ze strony Fredzia. Nie, tu potrzeba było czegoś nadzwyczajnego, coby jej umysł, fantazyja i serce od razu szturmem wziąć mogło. Ale coby to być mogło?

Myślałem nad tym do drugiej godziny, ale nic nie wymyśliłem. Zdałem więc wszystko na opiekę Boską i zamknęłem powieki z tą niezłomną nadzieją, że dzień jutrzejszy coś mi lepszego w tym względzie przyniesie.

Nazajutrz przy drugim śniadaniu była już Sydonia. Zastałem ją rozmawiającą z Fredziem. Gdy mnie zobaczyła, zbliżyła się szybko i podała mi rękę, jak dobremu znajomemu. Zdawało mi się, że uścisk jej ręki był nieco odmienny od zwykłego przywitania. Najprzód ścisnęła mnie mocno, a potem, niby zaprzętniona odpowiedzią Fredziowi, trzymała chwilę moją rękę w swojej dłoni.

Nie umiem opisać cioci, jakie wrażenie sprawiła na mnie ta miękka, ciepła, aksamitna dłoń Sydonii. Nic nie znam w całej naturze, coby przyrównać można do tej dłoni. Wiem tylko, że jakieś rozkoszne ciarki przesunęły mi się przez paciierz z góry na dół i z dołu do góry. Byłbym tak stał przez wieki, jak piramidy Faraonów.

Wreszcie wysunęła zwolna rękę, a natomiast zwróciła na mnie duże swoje oczy. Na domiar tego wszystkiego obaczyłem szereg białych ząbków i usłyszałem słowa:

— Dzisiaj zachowałam się cicho, aby panu nie przeszkadzać. Zapewne śniłeś pan przyjemnie.

Zdawało się że na tych słowach chciała poprzestać i do rozmowy z Fredziem wrócić. Obejrzałem się za nim. Fredzio jednak, jakby na moje szczęście, już się był oddalił do jurysty, który stał przy oknie i w szybę bębnił. Widząc to, Sydonia zwróciła się szybko do mnie, a rozpoczynając jakąś obojętną rozmowę, szła zwolna do kanapki, która stała po przeciwnej stronie pokoju. Rozumiem się że słuchając ją, siedłem także za nią. Usiadła na kanapie po prawej stronie, a po lewej zrobiła dla mnie miejsce. Korzystałem z tego i zająłem szybko wskazane miejsce.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## CO SŁYSZAŁEM.

(Z podania ludowego).

Przesiedziawszy dość długo w Warszawie, znużony nieco pracą umysłową — wybrałem się w sierpniu r. z. do mojego kuzyna, mieszkającego na wsi, niedaleko miasta Wiślicy.

Przyjęty zostałem, jak to mówią, z otwartymi rękami i przyrzeczeniem, że nudzić się nie będę. I rzeczywiście z początku dosyć wesoło czas spędzałem; ale w końcu jednostajne wiejskie życie poczęło mi się przykrzyć. Bardzo więc byłem uradowany, gdy jeden z sąsiadów mego kuzyna zaprosił mnie na polowanie.

W naznaczony dzień, raniuteńko, wyruszyliśmy w pole. Nie jest zamiarem moim opisywać wypadków myśliwskich, obawiam się bowiem waszój niewiary, bo według ogólnego przekonania, każdy myśliwy, w kwestyi polowania, kłamie uczciwie; nadmienię tylko, że polowanie dosyć szczęśliwie się powiodło, pomimo kilku pudeł, i że ogromnie się całodziennym po polach chodzeniem znużyłem, a tępym samym z upragnieniem wyglądałem odpoczynku.

Wracając pod wieczór, skierowaliśmy się przez obszerne łąki, zalegające oba brzegi rzeki Nidy, ku miastu Wiślicy. Rozglądając się z przyjemnością po sielskiej okolicy, spostrzegłem przed sobą podwyższenie, rodzaj sztucznego pagórka. Ciekawy co to być może, zapomniawszy o znużeniu, wszedłem czempredziej na wierzch i przekonałem się że to wał usypany, w około zamknięty, a wewnątrz obrębu jego ujrzałem chłopca orzącego parą wołów. Wzięła mnie chętka pogadać z nim trochę, tęp bardziej że i towarzysze moi postanowili tu wypocząć. Powitałem go więc słowem Boskiem:

- Pochwalony Jezus Chrystus.
- Na wieki wieków, odpowiedział.

## RYSUNKI HUMORYSTYCZNE

Franciszka Kostrzewskiego.



Chwała literacka.

- Stasiu! Zosiu! zawołajcie no guwernantki. Jest nasz artykuł drukowany w Gazecie!..
- Niech tatko przeczyta, mój tatku!
- No, cicho! słuchajcie! (czyta): „Dwa pokoje do odnajęcia z wolnej ręki od tyłu“....

— Mój ojczu, co tu w tęp miejscu było? rzekłem do niego.

— Ej, proszę panoczka, dawne to czasy pamiętają te wały, bo jak starsi powiadali, to już ze czterysta lat temu, jak tu na tym odołku, w środku tych wałów, stał zamek króla, który był pono bardzo małego wzrostu, ale zato mądry i bitny. A tam dalej, na tym drugim pagórku, stały budynki, w których zamieszkiwano psy gończe, i dlatego ten pagórek nazywa się *Psią górką*. Jest ta między nami o tym królu gadka, ale nie wiem czy to prawda co powiadają.

— No, opowiedzcie mi ją mój ojczu, to może ja poznam czy to prawda.

— Ha, kiedy chcecie panoczku, to wam i powiem.

I zaczął opowiadać w ten sposób:

— Kiedy tu dawno temu najechały Szlązaki, czy tam jacy inni, bo już przepomniałem jak się nazywali, to ten maluśki król schował się z trochę wojska do tego zamku i ślubował, że jeżeli ich pobije, to wybuduje w Wiślicy taki duży kościół, jakiego jeszcze w całym kraju niema. Wyszedł tedy z zamku podziemnym lochem, który się ciągnie aż do Nowego Miasta (Korczyzna), i postanowił na oblegających z tyłu uderzyć.

Przy tych słowach pokazał mi skalę wystającą z ziemi, w której wybity był otwór, cały prawie gruzem zasypany.

— Przed kilkunastu laty, mówił dalej, drzwi te nie były zupełnie zasypane, i kiedyśmy rzucili w ten otwór kamień, to słyszeliśmy, że zawsze plusnęła w wodę. Wzięła nas więc ochota puścić tam kaczkę umazaną smołą, to wypłynęła aż na Wisłę pod Nowym Miastem. Więc to już, widzicie panoczku, prawda, że tym lochem można dojść do Nowego Miasta. A jakeśmy zaczęli raz grzebać w tych gruzach, tośmy znaleźli kawałek pałasza i żelazo jakby od lancy.

(Ob. dodatek.)

## Szachy.

## Partya sycylijska.

Białe.

Czarne.

(P. S. Winawer).

(P. Steinitz).

(Grana w Paryżu 1867 r.)

- |                 |                  |
|-----------------|------------------|
| 1) E2—E4        | 1) C7—C5.        |
| 2) G1—F3        | 2) E7—E6.        |
| 3) B1—C3        | 3) B8—C6.        |
| 4) F1—B5        | 4) G8—E7.        |
| 5) Roszują      | 5) E7—G6.        |
| 6) B5—C6 biorą  | 6) B7—C6 biorą.  |
| 7) D2—D3        | 7) F8—E7.        |
| 8) C3—E2        | 8) Roszują.      |
| 9) B2—B3        | 9) D7—D6.        |
| 10) C2—C4       | 10) F7—F5.       |
| 11) E4—F5 biorą | 11) E6—F5 biorą. |
| 12) E2—F4       | 12) G6—F4 biorą. |
| 13) C1—F4 biorą | 13) G7—G5.       |
| 14) F4—C1       | 14) G5—G4.       |
| 15) F3—E1       | 15) F5—F4.       |
| 16) C1—B2       | 16) D8—E8.       |
| 17) D1—D2       | 17) D8—H5.       |
| 18) F2—F3       | 18) G4—G3.       |
| 19) H2—H3       | 19) H5—G6.       |
| 20) E1—C2       | 20) C8—F5.       |
| 21) F1—E1       | 21) E7—G5.       |
| 22) A1—D1       | 22) A8—E8. (1)   |
| 23) E1—E8 biorą | 23) F8—E8 biorą. |
| 24) D1—E1       | 24) E8—E1 biorą† |
| 25) C2—E1 biorą | 25) G6—E6.       |
| 26) G1—F1       | 26) G8—F7.       |
| 27) D2—E2       | 27) E6—D7.       |
| 28) E2—D2       | 28) F7—G6.       |

## Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 46.

Człowiek pobożny modli się i zapomina o przebytych gorzeżach.

- |                          |                   |
|--------------------------|-------------------|
| 29) D2—E2                | 29) H7—H5.        |
| 30) B2—A1                | 30) H5—H4.        |
| 31) E2—B2                | 31) D7—E7.        |
| 32) B2—E2                | 32) E7—D7.        |
| 33) E2—B2                | 33) D6—D5.        |
| 34) B2—E2 (jeszcze raz!) | 34) D5—D4.        |
| 35) A1—B2                | 35) G5—E7.        |
| 36) B2—C1                | 36) E7—D6.        |
| 37) C1—D2                | 37) G6—F6.        |
| 38) F1—G1                | 38) D6—E5.        |
| 39) D2—C1                | 39) D7—C8.        |
| 40) G1—F1                | 40) C8—A6.        |
| 41) F1—G1                | 41) A6—A5.        |
| 42) G1—F1                | 42) A5—C3. (2)    |
| 43) C1—D2                | 43) C3—B2.        |
| 44) D2—A5                | 44) B2—E2 biorą † |
| 45) F1—E2 biorą          | 45) F6—E7.        |
| 46) E1—C2                | 46) E7—D7.        |
| 47) C2—A3                | 47) E5—D6.        |
| 48) A3—B1                | 48) D6—C7.        |
| 49) A5—E1                | 49) D7—C8.        |
| 50) B1—D2                | 50) C8—B7.        |
| 51) D2—E4                | 51) B7—B6.        |
| 52) E1—D2                | 52) A7—A5.        |
| 53) D2—C1                | 53) A5—A4.        |
| 54) C1—A3                | 54) A4—B3 biorą.  |
| 55) A3—C5 biorą †        | 55) B6—A5.        |
| 56) A2—B3 biorą          | 56) C7—E5.        |

Po kilku posunięciach, czarne utraciły drugiego piona (D4) i przegrały.

(1) Lepiej było jechać wieżą na D8 i potem pionem D6 na D5 i D4.

(2) Chwała Bogu! Gdyby nie ten błąd, toby się była partya nigdy nie skończyła.

(Dodatek.)



— A gdzieście to podzieli? zapytałem.

— Z pałasza zrobiliśmy nóż, a z tego żelaza kostur do oskrobywania pługa, — i to mówiąc, pokazał mi kij, na końcu którego było osadzone owo żelazo, ale już tak starte, że zaledwie pozostały ślady pierwotnego kształtu.

— Ale cóż się zrobiło z królem? czy kościół postawił?

— A juści postawił, kiedy stoi; nie widzicie go to panoczku? Tylko że nie mógł go skończyć, bo wkrótce mu się zmarło; więc skończył go syn jego, który, jak powiadają, był bardzo dobry, szczególnie dla chłopów. Ale może panoczek nie wiecie, że dawniej Wiślica nazywała się Kępą, bo naokoło była oblana wodą, i dopiero od czasu budowy kościoła zmieniło się jej nazwisko na Wiślica.

— A toście mi naprawdę nowinę powiedzieli, mój ojcze, bo o tym nie wiedziałem.

— A tak, tak, mój panoczku, a nawet słyszałem o tym historyę.

— No to mi ją opowiedzcie, bo ja bardzo lubię takie historye.

— Kiej panoczek chcą i lubią słuchać co starzy gadają o dawnych czasach, to i opowiem; ino piérwój wyprzęgnę woły, żeby sobie chudziątka trochę podjadły, bo już cały dzień pracują.

I z temi słowy poszedł puścić woły na paszę.

— A dajże już pokój temu gadaniu, zawołali na mnie towarzysze moi. Cóż cię zajmować może to bajanie?

— Jeżeli wam się nudzi, odrzekłem, to idźcie sobie ku domowi, a ja wkrótce za wami podążę.

Przyjęli propozycją moją i obiecując iść powoli, ruszyli naprzód, a ja pozostałem, oczekując powrotu opowiadacza, który po chwili zbliżył się do mnie i rzekł:

— A cóż to, sam tylko panoczek pozostali?

— Jak widzicie sam, bo tamtym panom już się sprzykrzyło siedzieć na jednym miejscu.

— A dlaczego i panoczek z nimi nie poszli?

— Bo widzicie, mój ojcze, jestem bardzo ciekawy waszego opowiadania o Wiślicy.

— A no, kiejście panoczku tacy ciekawi, to wam zaraz opowiem.

I zaczął w te słowa:

— Mówiłem wam już, że ten maluśki król uczynił ślub, że wybuduje taki wielki kościół, jakiego w całym kraju niema. Więc też przystąpił do spełnienia ślubu i sprowadził budownika, który nazywał się Lica, dał mu dużo pieniędzy na budowę i materiały i kazał postawić taki duży kościół, jaki jest teraz cmentarz. Lica wziął się zaraz do roboty; ale kiedy król odjechał do Krakowa, to przysłała mu zła myśl do głowy i zaczął stawiać kościół dużo mniejszy, niż mu król kazał, a resztę pieniędzy wziął dla siebie. W tym czasie król umarł, a nastał po nim drugi król, syn tamtego. Kiedy kościół już był skończony, przyjechał ten nowy król, obejrzał go i bardzo mu się podobał. Ale ludzie powiedzieli mu, że Lica dużo pieniędzy zabrał, bo nie postawił tak dużego kościoła jak mu kazano. Gdy król to usłyszał, ogromnie się rozgniewał i skazał Licę na powieszenie. Ludzie zaczęli króla za nim prosić, żeby mu winę darował, bo go bardzo polubili; ale król, chociaż się udobruchał trochę, nie chciał mu przepuścić, powiadając że słowo królewskie nie może być złamane i kazał Licę wtrącić do więzienia. Kiedy już siedział w więzieniu, bardzo się prosił, żeby mu dali duży kamień i narzędzia do ciosania, bo chce przed śmiercią zostawić jaką pamiątkę po sobie. Król na to pozwolił i dał mu wszystko czego żądał. Wtedy Lica wykuł z tego kamienia siebie powieszono na postronku i prosił, żeby to od niego królowi zanieśli i powiedzieli, że kiedy słowo królewskie nie może być złamane, to już Lica jest powieszony.

Król, dowiedziawszy się o tym, udobruchał się jeszcze bardziej i kazał go z więzienia uwolnić.

Lica na pamiątkę kamień, który go od śmierci uwolnił, wmurował w kościół, — a ludzie schodzili się i oglądali kamiennego wisielca, wołając: „O, już wisi Lica!“ Te słowa: „wisi Lica“, tak często dawały się słyszeć, że na pamiątkę tego zdarzenia nazwisko Kępa przemieniono na wisi-Lica, czyli Wiślica.

Na tym zakończył swoje opowiadanie. Podziękowawszy mu, pożegnałem go i udałem się za moimi towarzyszami, z postanowieniem zobaczenia czy

jest na kościele jakikolwiek ślad figury powieszono człowieka.

Nazajutrz więc, zaraz po śniadaniu, wybrałem się do Wiślicy i pilnie przyglądając się każdemu szczegółowi kościoła, spostrzegłem wypukłość, wyobrażającą rzeczywiście człowieka niby powieszono.

Sama rzeźba nie odznacza się wykończeniem, jest niezgrabna i nieproporcjonalna i ma mniej więcej dwa łokcie wysokości.

Jeżeliby kto był ciekawy ją obejrzyć, znajdzie ją w kącie kościoła, po lewej stronie głównych drzwi wchodowych, wmurowaną w ścianę zewnętrzną.

Zabawiwszy jeszcze parę tygodni u mego kuzyna, powróciłem do Warszawy i postanowiłem tym co słyszałem, podzielić się z wami czytelnicy, w myśli, że może między wami znajdzie się ktoś taki, co zechce rzecz tę zbadać naukowo, na co, o ile mniemam, zasługuję.

I. K. Ł.

## IRENA.

(Obrazek z dziejów greckich).

### I.

Widzę — dumny gród Cezara,  
Bohatérów ziemia święta,  
Wielka, groźna i prastara,  
W barbarzyńskie idzie pęta!  
Widzę, — widzę, — w grodu wrota  
Ów Mahomet wkracza drugi, (1)  
Ogień dumy z oczu miota,  
Koń i jeździec — złota strugi!  
Konstantyna gród wokoło,  
To ruina, zgłiszczce, złomy;  
Nad tém wszystkiém wznosi czoło  
Osman — Boży bicz widomy.  
I zbawienia znamię pada,  
Jak Cezarów gród — w popioły!  
Oto rzuca się gromada  
Z wyciem wilków na kościoły,  
I łupieżstwa dziec łakoma,  
Krzyż brudnemi depce stopy,  
I, o zgrozo! śród Europy  
Mahometa staje Roma! (2)

W zgłiszczach owych, w tój ruinie,  
Jakaż prawda niepożyta  
I nauka wiekom świta!  
„Co istniało fałszem — ginie!“  
„Graeca fides“ światu znana....

A z tój krwawej, strasznej sceny,  
Z grobu wstaje duch Ireny...  
Branka była to sułtana.

1) Starożytne Bizancyum, przebytownawszy 1125 lat po odbudowaniu go przez Konstantyna Wielkiego, padło pod zdobywczym mieczem Mahometa II-go w roku 1453. Malowniczy obraz krwawego tego dramatu, który trwał dni 55, pozostawił nam historyk Hammer.

(2) Czytamy u tegoż Hammera: „Teofil Paleolog i Pemetryusz Kantakuzen, opiekali się oblegającym, gdy tymczasem cesarz Konstantyn II-gi, dosiadłszy konia, zagrzmował swoich słowem i czynem. W tój chwili kula czy strzala ugodziła w ramię Wenecyanina Giustiniani, który kierował obroną grodu. Wódz ten prosi cesarza o pozwolenie udania się na okręt, dla przewiezienia z rany. Konstantyn mu odpowiada, iż rana jego zbyt lekka. Lecz nic nie mogło powstrzymać Giustinianiego. „Dokąd idziesz?“ woła nań cesarz. „Tam gdzie Bóg sam toruje drogę Turkom!“ odpowiada Wenecyanin, i wkrótce był już w Galacie, zarówno nieczuły na przesłą swą sławę i na sąd potomności, która potępiła jego pamięć. Odjazd Giustinianiego rzucił popłoch w mieście i t. d.

Następnie, co do bohaterkiej śmierci cesarza, Hammer tak pisze:

Wtedy gdy mężnie broniono wrót San-Romanos, na które zwrócony był główny szturm, Turcy w innym punkcie wdarli się już do miasta, gdyż na zasadzie prorocтва iż nieprzyjacieli wejście tam przez wrota San-Romanos, wchód Xytokerkon pozostawiony był otworem. Pięćdziesięciu Turków wpada przez te wrota do miasta. Powstaje okrzyk: Konstantynopol zdobyty! — Od portu do wałów miasta zgłęk i zamieszanie, przestrasz ogarnął otaczających cesarza. Napróżno Teofil Paleolog i Kantakuzen dokazują cudów waleczności; cesarz sam zawyrokował, iż wszelki opór odtąd byłby bezowocny. „Wolę zginąć, jak żyć, zawołał i rzucił się w tłum wrogów.

Opuszczony od swoich, szuka ich rozrzuconym okiem i wymawia te pamiętne słowa:

„Jako? nie masz więc bodaj jednego chrześcianina, by ściał mi głowę?“ I pada pod ciosami dwóch Turków, z których jeden ugodził go w twarz, drugi zaś utkwil mu jatagan w boku.

### II.

Laurów, łupów, złota syty,  
Czyż Mahomet groźny drzemie? (3)  
Czyż w rozkosze upowity  
Gnuśniéć myśli w swym haremie?

Ziemia Traków, tak bogata,  
Macedonów żyzne strony,  
I pokusa Amurata, (4)  
Belgrad, w złoto obleczony,  
I Morea! — Tyle ziemi,  
Tyle gaurów państw dokoła  
Ze skarbami rozlicznymi...  
Czyż nic ocknąć go nie zdoła?

Gniewny janczar wojną dysze, (5)  
Gwar powstaje pośród czerni,  
I baszowie, i derwisze,  
Ulemowie szemrzą wierni...  
Wyostrzony miecz bojami  
Czyliż w pochwie zardzewieje?  
Czyż Mahomet zamgli, splami  
Nieczynnością dni swych dzieje?

Zgroza w koło, a w haremie  
Sułtan u nóg odaliskil...

Wierni! stary lew nie drzemie!  
W oku jakieś straszne błyski;  
Przed dziewicą drzącą, bladą,  
U nóg dziecka — on się korzy!  
Słowa biją z ust kaskadą...  
Jak w oblicze jasnej zorzy,  
W odaliskę on wpatrzony!..  
Błaga, straszy, wabi, pięści,  
Nęci blaskiem ją korony,  
Ale hardy duch niewieści!...  
Milczy, albo gdy otworzy  
Usta, biada sułtanowi!  
Jednym słówkiem go ukorzy,  
A spojzeniem serce łowi.

I któż ona?... Branka, dziecię!  
Gdy gród płonął Konstantyna,  
W chrześcijańskim tam meczecie  
Znaleziona ta dziewczyna...

U ołtarza kłęczy ona —  
Młodzian kłęczy u jej boku...  
Ona blada, zda się kona,  
Życie błyska tylko w oku...

Przed ołtarzem mnich sędziwy  
Jakieś czyta modły cicho...  
Wierni! Dla was to są dziwy...  
Gdy gród pada jak Jerycho,  
Ta niewinna młoda para  
Tu się modli?... Ależ przecie  
Czemu ukryć się nie stara  
Młodzian cudne swoje kwiecie?  
Ukryć? — kędy? chyba w niebie,  
Gdy ich razem wróg pogrzebie.

Wierni! toż to kochankowie!  
Ale miłość ich nie wasza.  
To ślub, kapłan wam odpowie,  
I na gody was zaprasza.

(3) Mahomet II-gi, dokonując zdobyciem Carogrodu marzenia swych poprzedników, pozyskał tytuł „Zwycięzcy i zdobywcy“ Co zaś do bogactw wywiezionych z Carogrodu, oto co czytamy o nich u Dukasa: „Flota (turecka) odpłynęła, obarczona naczyniami złotymi i srebrnymi, bogatemi szaty i mnóstwem niewolnika. Lecz w obozie pozostał łup równie bogaty. Tu żołdak przechadzał się w kapłańskim stroju, — tam znów drugi ciągnął psy na złotolitych pasach; inny pił wino z kościelnego kielicha, tamci znów znieważali naczynia święte, używając ich do uczy obozowej. Niezliczona ilość ksiąg zalegała wozy, dążące do różnych prowincyj otomańskiego państwa. Dziesięć tomów Platona, Arystotelesa, lub dzieł teologicznych sprzedawano za szeląg. Wszystkie ozdoby złote odarto z licznych ksiąg ewangelii, obrazy zaś wrzucano w ogień.“

(4) Amurat II-gi, ojciec Mahometa I-go, sławny z walk z Huniadem, sprawca śmierci Władysława III-go pod Warną, zdobywca wielu miast greckich, postrach cesarza Jana Paleologa, pozostawił synowi dokonanie zdobycia Belgradu, Morei i cesarstwa greckiego.

(5) Początek janczarom daje Urkan, syn Osmana, drugi sułtan z rządu, a raczej brat jego Aladyn, wielki wezyr. Jeni-Teheri (nowe wojsko). Historia Turcyi przez Raoul Bourdier, Leonarda Chodźkę i Jules Duvaux.

O, to były krwawe gody!  
U ołtarza w mgnieniu oka  
Płynię struga krwi szeroka;  
Pada kapłan, z nim giaur młody.  
A dziewczica? Cóż to, wierni,  
Ona żyje? — Anioł Boży  
Ducha nawet dzikię czerni  
Swą jasnością upokorzy!

Nad ję głową podniesiony  
Zadrzał topór...

Dziki basza  
Sięgnął po nią sępa szpony,  
Woła: „Nie tknąć! Branka nasza!“

W téjże chwili w święte progi  
Wszedł Mahomet. Spojrzał w koło...  
Allah! Czemu wzrok tak srogi?  
Czemu w groźnej chmurze czoło?  
Czemu gromy z oczu miota?  
Meczet giaura waszym łupem!  
„Psy! — zawoła — trup za trupem!...  
Jeszcze niedość krwi i złota?  
Allah jeden! Precz z trupami!  
Miecz w bezbronnych krwi się broczy,  
Krew ta dom Allaha plami!“  
Stanął, w pery utkwiał oczy,  
Sam ją podniósł.

„Żyje przeciel  
Czuję oddech. — Weź to dziecię,  
Rzekł do baszy. — Ha, psie stary,  
Tak w meczecie się bawicie?

Jako w piersi ogień wiary  
Muzułmanin wierny chowa,  
Tak ty chroń téj branki życie —  
Ona, albo twoja głowa.“

Potém modlił się wraz z wami...  
I tak giaurów dom ów Boży,  
Co policzył byt wiekami,  
Przed księżycem czoło korzy. (6)  
Cezar padł przed Mahometem,  
A Jehowy dom — meczetem!  
Branka — perłą tam w haremie,  
A u stóp ję — sułtan drzemie.

### III.

Jak edenu istna pery  
Odaliska wdziękiem świecił  
To harem brylant szczery,  
Najcudniejsze z wonnych kwieci!  
Kiedy łzawe, czarne oko  
Spocznie na kim, — na proroka!  
Chowaj serce twe głęboko,  
Bo czar płynie z tego oka!...  
A ję lice — jak lilia!  
Czemuż smutek je oplata?  
Czemuż postać ję owija  
Niezagasłych bólów szata?  
Sułtan ubrał pery swoją  
W adamaszki, perły, złoto,  
Sorbet, cukry wokół stoją,  
Marmurowe stoły gniotą;  
Śród edenu tego przecie  
Odalisce nie wesoło,  
I wyrzeka wciąż jak dziecię,  
I zasępia śnieżne czoło.

Noc. Puszyste edredony  
Na Irenę tam czekają...  
Snów uroczych miliony  
Swą swawolną, lekką zgrają  
Nęcą, wabią ją ku sobie...

Ona klęczy rozmodlona,  
Płacze w raju, jak na grobie,  
I medalion do łona  
Ciśnie złoty... Eunuch z boku  
Patrzy na to zlekły, bład,  
Z blaszki boi się uroku...  
W śnie nakoniec szuka rady...

Zaskrzypiały drzwi haremu, —  
Wszedł Mahomet... patrzy wkoło...  
„Nie śpisz, pery? Nie śpisz? Czemu  
Znów tak chmurne twoje czoło?...  
Kwiatku wonny! pery złota!  
Kiedyż łzy się twe ukoją,  
Perło moja?... Raju wrota,  
A w nim serce, duszę moją  
Masz przed sobą! Za rzut oka,  
Za ust twoich uśmiech szczery —  
Dałbym... dałbym raj proroka!  
A ty dla mnie w chmurach, pery!...  
Tam czekają janiczary  
Mahometa, z bronią w dłoni;  
Od miesiąca derwisz stary  
Wciąż mi zgrozą w ucho dzwoni;  
Czerń otacza seraj zgrają,  
Wierni szemrzą na sułtana,  
Tam, — do boju mię wzywają!  
A ty, pery ukochana,  
Ty, dla której czas mój święcę  
I gnuśnieję tu w haremie  
I zwyciężkie łamię ręce...  
Ty odtrącasz mię... Czyż drzemie  
Serce w tobie? Czyliż kwiecie  
Z trupem w grobie serce dzieli?  
Czas już powstać! O, czas przeciel!  
Pery — serca! Bo jeżeli...“

Odaliska z modłów wstała  
I jak anioł iście Boży,  
Ciałem branka, duchem biała,  
Dłoń na piersiach śnieżnych złoży,  
I jak srebrny szmer strumienia,  
Jako palmy liść szelestem  
Głos ję zabrzmiał:  
„Branką jestem!  
Twa namiętność nasycona!  
Lecz przysięga się nie zmienia.  
Rzekłeś: — trupa jestem żona!

Sułtan zadrzał.  
„Słowo jeszcze!  
Patrz mi w oko! Widzisz w oku  
Gniewy płyną już złowieszcze,  
Wstrzymywane — jako w skoku  
Lew, czarami twego oka!  
Odalisko! Na proroka!  
Lwa nie drażnij! Odalisko!  
Albo podaj śnieżne dłonie  
Jako moja pery luba,  
Albo piekło cię pochłonie!  
Rozdrażniony lew już blisko!  
Jutro... serce twe, lub zguba!“

„Śmierci błagam, śmierci paniel  
Śmierci! Długa już sromota!  
Boże! Duch mój gdy tam stanie;  
Czy otworzysz jemu wrota?  
Śmierci błagam, Mahomecie!  
Tyś posłańcem śmierci przecie.  
Oto pierś ma! Uderz śmiało!  
Toć zabójstwo ci przystało.“

Skrzą się oczy Mahometa,  
Ścisnął mściwy miecz w swą dłoń...  
„A więc zginiesz! Ujrzą oni  
Czém dla władcy jest kobieta!“

I to mówiąc, wyszedł — drzwiami  
Cisnął z gniewem... A dziewczica  
Znowu klęczy z aniołami,  
W łzach boleści topiąc lica.

### IV.

Jakież gwary dzikie słyszę  
We stołecznym Turków grodzie? (7)

Czyż się zadość stanie pysze,  
Żądom dumy twój, narodzie?  
Seraj tłumem otoczony...  
Janiczarów, ludu zgraje...  
Szczęk oręza — krzyk Bellony!  
Więc z letargu sułtan wstaje?...

Patrz! wezyry, spahi, basze —  
I niewiasty i derwisze,  
Wszystko wojny ogniem dyszel!  
Ha, więc sułtan miecz przypasze?

Tłum duch cały zlał do oka,  
Zaparł oddech... Kogóż czeka?  
Sułtan wyjdzie, brat proroka,  
Słońca, nieba syn od wieka!  
Sułtan wyjdzie! Muezzyni  
Obwieścili to dokoła...  
Zadość żądy ich uczyni  
I do zwycięztw znów powoła!...  
Allah! Allah! Syn proroka  
Już wychodzi... I dokoła  
Cisza korna i głęboka,  
Tak, iż ucho schwycić zdoła  
Brzęk leżącej muchy górą...

Twarz Mahomet miał ponurą, —  
Na lud spojrzął... Na proroka!  
Błyskawice biją z oka!  
Spojrzął za się... Ża tam wiodą  
Od haremu brankę młodą.  
Białą czadrą osłonią...  
Dłonie śnieżne drżą u łona...  
Staną...

Sułtan wnet zawoła:  
„Odjąć brance czadrę z czoła!“  
I odjęto...

Tłum zagwarzy,  
A od branki cudnej twarzy  
Taki strzelił blask dokoła,  
Iż przemądry derwisz stary  
Nie śmiał ku nię podnieść czoła —  
Bo w ję oku giaurów czary.

„Ludu! Piękna to kobieta?  
Cóż się zrówna z ję obliczem?  
Lecz dla serca Mahometa  
Prócz proroka — wszystko niczem!  
Gdy do zwycięztw prorok woła,  
Sułtan wiernych nie zdrzemie,  
Nawet pery ta nie zdoła  
Ducha więzić mu w haremie!  
Giń więc pery!“

Błysnął stała —  
Spadła cudna branki głowa;  
Moc sułtana wierni chwałą,  
Lecz sułtana twarz surowa...  
Na lud spojrzął — i zawoła:  
„Psy! — Podnieście ku mnie czoła!  
Miecz ten miłość przeciąć umie, —  
Ale słuchaj, podły tłumie!  
I zuchwalstwo zgnieść on zdoła!“ (8)

I strach wielki powstał w czerni,  
I zadrżeli janiczary...  
I w proch padli twarzą wierni...  
„Allah“ szepnął derwisz stary.

*Klemens Podwysocki.*

(7) Natenczas Adryanopol.

(8) Między czynami barbarzyństwa jakie zarzucają Mahometowi, zajmuje miejsce i śmierć Ireny. Była to młoda i piękna dziewczica, wzięta z innymi łupy w Carogrodzie. W skutek zamienitęj ję piękności, postanowiono okazać ją Mahometowi. Sułtan wkrótce rozkochał się w brance, a miłość ta przykuła go całkiem do haremu. Wojsko poczęło szemrać na gnuśność sułtana, tak sprzeczną z dotychczasową jego walecznością. Dowiedziawszy się o tém, Mahomet kazał przed całym swym dworem stawić młodą brankę, a zwracając się ku otaczającym go baszom, zapytał z dumą, czy widzieli cós podobnie doskonałego, jak piękność młodej dziewczicy? Wszyscy odpowiedzieli przecząco i unosili się nad wyborem sułtana. W téjże chwili Mahomet, obnażając miecz, ściał głowę branki, która padła u nóg jego, a sułtan, rzucając na obecnych piorunujący wzrok gniewu, zawołał: „Ten miecz umie, gdy tego chce, przeciąć nawet miłość!“ (Tamże).

(6) Mahomet, dowiedziawszy się iż Carogród zdobyty, puścił się do miasta przez wrota San-Romanos, w tryumfalnym pochodzie, otoczony wojskiem, w towarzystwie wezyrów, baszów i straży. Przybywszy tak przed bazylikę św. Zofii, zsiadł z konia, by objąć w posiadanie tę pyszną metropolią Wschodu. Wchodząc do świątyni, rozkazał jednemu z obecnych muezzynów wezwać wiernych do modlitwy. Dając wzór z siebie, poszedł do ołtarza i modlił się. Tak odbyła się inauguracja czci proroka w świątyni Boga chrześcian. (Taż historia).

# UROCZA,

POWIEŚĆ -

przez T. T. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Co to, panie, przywiązanie do życia—samozachowawczy instykt. Chwyta się on i naj-słabszej nadziei.

Jakąż nadzieję mógł mieć ten wilk?... Za nim pięćdziesiąt psów, a dalej pięćdziesięciu jeźdźców.

Każdy z psów, żeby go tylko uszczypnął zębami, to jużby był ze skóry odartym. Każdy z jeźdźców, żeby go tylko potrącił kopytem, to jużby został zatratowanym. Lecz cóż on miał począć? Usiąść i powiedzieć: co ma stać się, niechże się stanie?... Gdyby wilk obdarzonym był władzą myślenia, nie podlega najmniejszej wątpliwości, iżby to był czynnik. Bo takby sobie kombinował: mam zginąć i do tego się zmęczyć, to lepiej że zginę nie męcząc się. Ale on nie kombinował, tylko zmykał. Minął jedną staję, minął drugą, ba i trzecią—a odległość oddzielająca go od chartów coraz to się zmniejszała. Zrazu zdaleka, następnie coraz to bliżej i bliżej, słyszał za sobą tętent i sapanie. Złowrogi to był tętent i złowrogie sapanie; lecz on się nie oglądał. Cóż gorącego już go nawet w ucho potrąciło — on się tylko mocniej wyciągnął. Potrącenie powtórzyło się—i dodało mu nowego bodźca. Aż nagle, tuż obok łba swego, ujrzał smukły, długi, gładki, kończasty łeb charta.

Nie będę się zastanawiał i w przypuszczeniach gubił, jakie wrażenie zrobić mogło na wilku to widziadło. To pewna, że nie naj-przyjemniejsze, pomimo iż nosiło ono kolor niewinności, chart bowiem biały był jak mleko. Białość ta jednakże ukrywała zamiary krwawe. Wyrównał się z wilkiem na to, ażeby szybkim zwrotem rzucić się mu na kark. Wilk to snadź przewidział, czy przeczuł — i uprzedził wroga. Nie z taką błyskawicą śmiga po niebie szybkością, z jaką on skoczył na charta.

Skoczył, wyrzucił, i za gardło zębami schwytał. Schwycił i z całym wyteżeniem rozpaczy ścisnął. Musiało być to ściśnienie silnym, bo na miejscu gardła zrobiła się krwawa dziura, z której buchnęła krew. Chart raz tylko jęknął; wilk się zerwał i pomknął dalej, zostawiając za sobą trupa i nosząc na sobie zbrodnię morderstwa, popełnioną na najlepszym charcie.

Jeżeli kiedy, to po tej zbrodni zguba jego była pewną. Mimo broczącego się we własnej krwi psa, przeniósł się tłum chartów, a za chartami tłum jeźdźców. Z tych ostatnich każdy, ujrzawszy co się stało, krzyknął:

— Hajź!...

A w okrzyku tym brzmiał akcent tej zemsty nieubłaganej, co to nie przypuszcza przebaczenia.

Nie było dla wilka ratunku—a jednakże ratował się.

Białego charta zastąpił jakiś żółty—i padł trupem. Po żółtym ten sam los spotkał siwego. Najlepsze trzy charty zginęły — ale po-goń nie ustała.

Wilk zachowywał się, jak Rzymianin z dawnych czasów. Pamiętacie historią o walce Horacyuszów z Kuryacyuszami. Wilk naśla-

dował Horacyusza, chociaż historii rzymskiej nie czytał. Ale Horacyusz miał przeciwko sobie tylko trzech, a on takie mnóstwo!... Przepuścimy, iżby był z chartami sobie poradził i jednego po drugim trupem położył, co nie było nawet rzeczą nader trudną, dlatego że nie miał do czynienia z wilczarzami, lecz z gatunkiem chartów używanych jedynie do szczucia zajęcy i lisów,—to pozostawali jeszcze jeźdźcy w liczbie pięćdziesięciu. Mógł więc zamordować pięćdziesiąt chartów, ale co zrobić z pięćdziesięciu jeźdźcami?...

Co?... ot—uciec.—Położenie wilka nie było nader rozpaczliwe. Od jeźdźców uratowała go mogła szybkość nóg. Mógł uciec, a chociażby go który i dosięgnął, to cóżby mu bez broni palnej, bez kordelasa i oszczepu zrobił?... Połyskiwała więc dla niego jeszcze gwiazdka nadziei. To też, ufny w nią, darł z całej siły, czekając, z zaprawionymi trzema morderstwami zębami, na czwartego... Kuryacyusza.

Niedługo czekał. Ale, niestety! gdy się na czwartego rzucił, uczuł na sobie nagle tłum, który go przywalił. Usłyszał zajadłe wycie i skomlenie i... w oczach mu pociemnieć musiało.

Cóż się stało?—Oto na równi z czwartym chartem szedł piąty, tuż za piątym szósty, a na równi z szóstym siódmy i ósmy, o tuż za temi dziewiąty, dziesiąty, dwudziesty, trzydziesty, a naostatku jeszcze dwadzieścia. Rzucił się więc na czwartego, którego niezawodnie byłby położył, jak trzech poprzednich, ale chart przez charta darł się ku niemu, i w moment utworzyła się duża, niekształtna kupa, w której, niby w garnku z wrzątkiem, klekotały dzikie krzyki i złane chaotycznie warczenia, skomlenia, wycia, jęczenia, piszczenia i szczekania.

A gdy się ta kupa utworzyła, dojeżdżał do niej tłum jeźdźców, na czele których, na niepokojnym koniu, sadził młodzieniec, znany nam z przytoczonej powyżej rozmowy o geniuszach i o świecie. Wyścignął wszystkich, dlatego zapewne, iż rzucił koniowi cugle na kark, mając ręce czém innym zajęte. Trzymał w nich scyzoryk, który usiłował odemknąć. Nie szło mu to z łatwością, z powodu iż cwał konia wstrząsał nim potężnie. Zdołał jednakże odemknąć, a odemknawszy, ujął scyzoryk w garść z tém zacięciem, które każe się domyślać zamiaru użycia go bynajmniej nie do temperowania piór albo ołówków.

Ujął go w garść i silnie zacisnął. W tej chwili koń dopadł kupy psów.

Dopadł... i nagle stanął jak wryty.

Raptowne przejście z wielkiego pędu do stanu nieruchomości ten wywarło skutek, że akademik z siodła, niby z procy, wyleciał i padł pomiędzy psy plackiem. I utonął w kupie. Myśliwi jeden po drugim przybiegali, ale żadnemu nie zdarzył się podobny wypadek. Zatrzymywali się oni zdaleka i dojeżdżali stępem, przypatrując się ciekawie zakończeniu krwawego dramatu. Jeden tylko koń był bez jeźdźcy, a jeździec, który przed chwilą siedział na nim, wynurzał się z pośrodku kupy to głową, to ręką, to nogą, to połową górną lub dolną korpusu. Wynurzywszy się, znów zapadał. Było to widowisko dość ciekawe—i zapewne dla ciekawości oglądania końca, nikt ani się ruszył podać rękę pomocy pasującemu się z psami młodzieńcowi — nikt, ani nawet ten szlachcic, co z nim rozmowę prowadził. Ten ostatni stał sobie na koniu trochę z boku, przypatrując się nie psom, lecz myśliwym. Na ustach jego wisiał drwiący uśmiech.

Nie jestem w stanie z historyczną ścisłością oznaczyć, jak długo trwało przypatrywanie się. Zakończyło się ono okrzykiem, który niewiadomo z czyich wydarł się piersi:

— Psy się gryzą pomiędzy sobą!.. Pozagryzają się!..

— To gorzej, iż zagryźć mogą człowieka... odezwał się szlachcic z boku.

— Rozrywaj!.. rozciągaj!.. ratuj!..

Powstało zamieszanie. Nastąpiła wrzawa. Wszyscy jeden po drugim z koni się zsunęli. Panowie łajali Kozaków, którzy nie wiedzieli co robić. Kozacy nawoływali jeden drugiego. W powietrzu krzyżowały się klątwy, jedne pod adresem służby w osobie drugiej, inne pod adresem panów w osobie trzeciej.

Każdy chciałby śpieszyć do psów, a nie chciał rzucać konia, z obawy aby nie uciekł. Zrobił się chaos nie do opisania, a zakończył się tém, iż w samym chaosie powstał porządek, który wyraził się w ten sposób, że jedna trzecia część jeźdźców trzymała konie, a dwie trzecie pośpieszyły na ratunek, nie tak łatwy jak się komu wydawać może. Niepodobna było ratować inaczej, jak przez wyciąganie psów z kupy za ogony. Wiadomo jak drażliwymi są psy we wglądzie ogonów: ciągnięcie za takowe uważają jako obelgę, równającą się policzkowi w ludzkim wyobrażeniu. Nie było jednakże innego sposobu do wyboru. Pierwszy poskoczył ów młodzieniec, co to z poważnym jegomością rozmawiał, chwycił za dwa, które się mu pod rękę nawinęły, ogony, pociągnął silnie, wyciągnął z kupy dwa charty i rzucił je po za siebie. Tym samym sposobem wziął się do drugich dwóch, gdy nagle zatrzymał go tętent i krzyk:

— Co robisz?... konie!...

Rzucił charty pomiędzy konie i te zhukane pędem i hałasem, poczęły się wydziierać. Kilka hulało już po stepie, forkając z podniesionymi jak kity do góry ogonami.

— Konie!... krzyczeli jedni. Trzymaj!..

— Psy!... krzyczeli drudzy. Ratuj!..

Pomiędzy końmi zrobiło się okrutne zamieszanie. Jedne wierzgały, drugie gryzły, a wszystkie się rwały. Łajanie ani trochę się nie przyczyniało do przywrócenia porządku. Myśliwi biegali tu i owdzie w zakłopotaniu, nie wiedząc czego się chwycić. Tylko ów szlachcic stał sobie na boku z drwiącym na ustach uśmiechem i powtarzał od czasu do czasu:

— Trzebaby to najprzód pomyśleć o ratowaniu człowieka, który diabli wiedzą za co stanie się Akteonem, pożartym przez cudze psy.

Ale głos jego był głosem wołającego na puszczy. Nikt na niego ani zważał. Wszyscy krzatali się około przywrócenia porządku, a każdy przyczyniał się do powiększenia nieładu...

Aż w końcu porządek pomiędzy końmi przywrócił się sam. Połowa uciekła, druga połowa odprowadzoną została od kupy żrących się psów, i można było nareszcie pomyśleć o tych ostatnich. Jedni wyciągali charta po charcie za ogon, drudzy brali je na smycze i musieli trzymać mocno, bo rozjuszony psy darły się do kupy, która coraz stawała się mniejszą.

Z umniejszonej kupy wylazł akademik. Nie mu się złego nie stało. Wyniósł parę skalęczeń, kilka sińców i kilka dziur na odzieży i wynurzył się tak zabawnie, iż byłby wzbudził homeryczny śmiech, gdyby kto w takim

zamieszaniu i ogólnem zajęciu był na niego zważał. Otarł pot i krew z czoła i odszedł, kulejąc lekko, na stronę. Tam spotkał się z owym szlachcicem, co przypatrywał się z boku.

— Witajże!.. zawołał ten ostatni — witaj z gorącej kąpieli... Cóż?... całyś?..

— Zdaje się...

— Nie odgryzły ci psy nosa, uszów?..

— Nie...

— To i dobrze... Cóż cię u licha pchnęło, żeś pędził jak bezprzytomny?..

Młodzieniec ramionami wzruszył.

— Ujrzałem wilka... Wszyscy ruszyli... Byłem porwany pędem...

— I nie chciałeś się dać wyprzedzić... — do końca szlachcic. O ambicyo!.. Mam zaszczyt przepowiedzieć asanu dobrodziejowi, że będziesz miał w życiu dużo zmartwień, jeżeli ambicyi swojej nie ulokujesz w jakim kiepskim celu...

Młodzieniec zajęty był obcieraniem się i obmacywaniem. Jednakże ostatnie wyrazy szlachcica uderzyły go. Zapytał więc z akcentem lekkiego zdziwienia:

— Co?

— Będiesz miał w życiu dużo zmartwień, jeżeli ambicyi swojej nie ulokujesz w jakim kiepskim celu... — powtórzył szlachcic.

— Nie rozumiem ciebie...

Niedziw... Do rozumienia w tej chwili, po przebyciu takiej łaźni, nie jesteś usposobiony, tak samo jak ja nie jestem usposobiony do tłumaczenia... Cóżś zamierzał wilkowi zrobić?

— Zamordować!...

— Udusić w rękach?.. To mi zuch, co o sobie nie wątpil!.. A wiesz-że, że to nie tak łatwo jak ci się zdaje...

— To też przygotowałem scyzoryk...

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się szlachcic. — Widać żeś wczora ze szkolnych wrócił ławek. Ufasz jeszcze w scyzoryk, jak w oręż...

— Radbym wiedzieć, kto mnie z pomiędzy psów uratował.

— Na cóż ci ta wiadomość?

— Chciałbym podziękować.

— Podziękuj psom... one cię uratowały, rozumie się pośrednio, a bezpośrednio nikt.

Przez czas kiedy oni rozmawiali, porządek został przywrócony. W miarę jak psy odciągano, pole walki się odsłaniało, oblane krwią i zasłane trupami i rannymi. Do ofiar które zginęły jak Kuryacyusze, przybyło jeszcze pięć, dwie zagryzione na śmierć, trzy pokaléczone na nie. Te ostatnie żałośnie skomlały, włóczęc się popolu z połamanymi nogami. Litość brała patrząc na nie. Szlachcice zwłaszcza którzy byli ich właścicielami, nie posiadali się z żalu.

A tymczasem porządek powracał. Bilans poniesionych szkód był niemały. Jednym konie uciekły — lecz ta szkoda nie należała do rodzaju niepowrotnych. Pojedynczo łapano je w stepie i sprowadzano. Ale trzy najlepsze w całej okolicy charty zginęły. Jeden z nich był własnością poważnego jegomości. Ten okazywał się niepoczyszonym w żalu.

— Ranicki dawał mi za niego tysiąc dukatów, a książę Sanguszko cztery konie powozowe i piątego wierzchowego ze swojej stajni do wyboru; i zginął mi marnie! O! takiego charta nie miałem i mieć nie będę! — wywoływał.

Drugi był własnością panicykowatego młodzieńca.

— Dałem za niego pięćset rubli gotówką i konia w dodatku.

Właściciel trzeciego psa rozwodził się nad cnotami domowemi nieboszczyka, który, wedle słów opowiadacza, był jego całym szczęściem, pociechą w terażniejszości i nadzieją w przyszłości.

Lecz co się z wilkiem stało?

Zapewne, mili czytelnicy, wydaje się wam, że trup wilczy leży wyciągnięty na pobojowisku, że zjadacz podswinków i baranów, morderca trzech najlepszych w okolicy i dwóch zwykłych chartów, sprawca takich zgryzot i gniewów, życiem zapłacił za wszystkie zbrodnie jakie sumienie jego obarczały. Tak się zdawało i myśliwym. Nie kłopotali się przeto nim, bo pewni byli, że on gdzieś leży. Tyle ludzi się kręciło na jednym miejscu, więc każdy myślał, że go myśliwi nogami zasłaniają. Lecz gdy padło zapytanie:

— Gdzie wilk?

Rozstąpił się ziemia — znikł jak kamfora.

— Ja go widziałem, ja go widziałem. Leżał tu, ot tu, z odwaloną kitą i wyszczerzonymi zębami... Na własne oczy widziałem... krzyżowały się zaręczenia, popiérane przysięgami i zaklęciami.

Mimo jednakże najuroczystsze przysięgi i zaklęcia, wilka nigdzie nie było.

— Uciekł!.. wyrzekł ostatecznie, po długich poszukiwaniach, poważny jegomość — i zakpił z nas.

— Uciekł!... — powtórzyli chórem myśliwi.

— Uciekł?... — zapytał się zdumiony akademik...

— A, szelma!.. — zakonkludował poważny jegomość. — Kto ma wódkę, niech się w moje ręce napije... Na frasunek dobry trunek..

## II.

### Szkoła niepowodzeń.

Nie można powiedzieć, że rozdział poprzedni wykrył bohatera powieści. Czyż bowiem uwydatniła się jaka postać? Czy która działających osób zwróciła na siebie uwagę czytelnika? Czy z tej mieszaniny psów, ludzi, koni, zająca i wilka wychyliła się jaka osobistość, o której możnaby powiedzieć: oto on. Heroicznie znalazł się jeden tylko wilk, którego ośmielam się polecać względem łaskawych czytelników. Kto był w takich opałach i wyszedł z nich cało i zdrowo, temu godzi się powinszować. Uciekł wprawdzie — ale jak uciekł!.. Odwrót Ksenofonta, który przez ciąg dwudziestu dwóch wieków służy ludziom za przedmiot podziwu i uwielbienia, był także nie czém inném, jeno ucieczką. Ucieczkę więc wilka można nazwać odwrotem i zaszczycić ją jakąś częścią tego podziwu i uwielbienia, jakimi znawcy przejęci są dla ucieczki Ksenofontowej.

Jakaż szkoda, że autorem tego heroicznego czynu nie jest człowiek, ale wilk, którego nie mogę wziąć na bohatera powieści. Szkoda!..

— *I want a hero...*

Muszę więc dalej czynić poszukiwania. Tym razem jednakże wezmę wyobraźnię na wodze i nie pozwolę jej bujać, boby mi mogła psotę wyrządzić. Zrażona tém, że się na stepie nie zadeklarował wyraźnie bohater, gotowa pociągnąć mnie na pobliskie błota, w których mógłbym ugrzęznąć — co mniejsza — i zajechać z powieścią tak, że ani rusz dalej — co byłoby szkoda rzeczowistą dla... dla?..

Zostawmy lepiej to „dla“ bez rzeczownika, mogącego mi jeszcze większą aniżeli wyobraźnią wyrządzić psotę. Przyznam się tylko, że mnie ono zmieszało i straciłem wątek rzeczy. Dla odszukania go przeto, ucieknę się do przypowieści.

Było sobie dwóch Żydków rówieśników, rozpoczynających jednocześnie pochód ciernistą drogą żywota. Ani jeden, ani drugi nie mieli o co ręk zaczepić, to jest obaj byli goli jak święci turecy. Jak tu się kierować w świecie, będąc gołym? Trudna rada. Poszli jednakże po rozum do głowy: udali się do pewnego goima, stanęli przed nim i w te do niego przemówili słowa, które im rozum z głów na języki wpędził:

— Jesteśmy goli...

Goim na to:

— Cóż z tego?

— Przysłiśmy o tém wielmożnemu panu powiedzieć... odrzekli Żydki, zdejmując jarmużki i nisko się kłaniając.

— A mnież naco ta wiadomość?..

— Nu?... na co?... oto na to, ażeby najprzód wielmożny pan o tém wiedział, a potem żeby nam rzekł mądre słowo.

Goim się mocno zdziwił. O jakie to mądre słowo im chodzi?..

Lecz Żydki wyprowadzili go ze zdziwienia:

— Co robić, żeby nie być gołym?

— Pracować...

Żydki powtórnie jarmużkami się pokłonili i uznali, że w tém słowie wielka mieszkała mądrość. Jednakże pytali dalej:

— Jak pracować?..

Że ów goim był to człowiek rozważny, więc pomyślał przez chwilę i odrzekł nie Żydkom, ale Żydkom jego mowę słyszeli i rozumieli:

— Gdybym kotowi kazał szczeakać, czyby szczeakał?... gdybym psa do pługa zaprzął, czyby orał?..

A zwracając się do Żydków rzekł:

— Handele.

A oni wyciągnęli ręce i sprezentowali goimowi cztery dłonie. Każda dłoń ozdobiona była w pięć palców, co razem czyniło palców dwadzieścia. Była to niema wymowa, którą goim zrozumiał. Więc sięgnął ręką do kieszeni, wydobyl kaletę i na każdej dłoni położył po dziesięć rubli. I tak powiedział:

— Oto wam pożyczam: jednemu złotych polskich sześćdziesiąt sześć, groszy dwadzieścia, i drugiemu tyleż. Niech to wam posłuży do zaczepienia rąk... Tylko pamiętajcie zwrócić mi pieniądze.

Żydki odeszli z wielką w sercu dla niego wdzięcznością i przy wieczornej modlitwie, ile sił w płucach stało, prosili Boga o błogosławieństwo dla jego synka.

Goim miał synka. Łaskawi czytelnicy niech raczą tę okoliczność zanotować sobie w pamięci...

Żydki odeszli i rozeszli się. Jeden poszedł w jedną stronę z rublami w kieszeni, drugi w drugą. Jeden i drugi rozmyślali: co robić? Trzeba coś kupić i sprzedać, znów kupić i sprzedać; ale pytanie co?.. Jeden i drugi odpowiedzieli sobie, pomimo że się nie zamawiali:

Skórki zajęcze..

(Dalszy ciąg nastąpi).